

KUŹNICA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Biblioteka Miejska
Łódź
Andrzeja 14.



Rok 2

Łódź, 7 października 1946 r.

Nr 39 (57)

KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI

ODPOWIEDŹ EMIGRANTOM

I.
Emigracja nie jest w życiu Polski zjawiskiem nowym lub wyjątkowym. Po upadku Rzplitej szlacheckiej, po klęsce powstania Listopadowego, wreszcie po wygaśnięciu Powstania Styczniowego, tysiące Polaków opuszczało kraj przymusowo lub dobrowolnie i szło na Zachód, na znak protestu przeciwko zaborom i niewoli. Wprawdzie emigranci z końca XVIII w. znaleźli się — o ile nie zgineli w walkach pod wodzą Bonaparte — z powrotem w Polsce, jednakże z pośród wychodźców politycznych z 1931 i 1864 r. mało kto złożył swe kości w ojczyźnie.

Teraz znowu mamy do czynienia z polską emigracją polityczną. Ale — czy istotnie emigracja i czy istotnie polityczna?...

Skąd się wzięli ci liczni Polacy w Anglii, Stanach Zjednoczonych, Francji, Włoszech, Niemczech etc. Trudno odpowiedzieć w jednym zdaniu. Co kraj, to inna przyczyna nieobecności w Polsce. Ten wyemigrował z kraju w 1939 lub 1940 r., aby się bić dalej z Niemcami, aby nie dostać się w ręce gestapo itp., tamtego Niemcy wywieźli na roboty lub do obozu koncentracyjnego; ów przesiedział przeszło 5 lat w obozie jeńców; jeszcze inny znalazł się na Zachodzie lub Południu, wyszedłszy z Rosji w 1941 r. Ale nikt nie wyjeżdżał z Polski dlatego, że mu nie odpowiadał ustroj polityczny, kierunek polityki rządowej i t.p. Emigrowano z uwagi na obcą okupację, konieczność walki z obcym państwem, chęć ratowania własnej głowy. Innych wywożono, byli to więc deportowani („displaced persons“ — jak mówią anglosasi) a nie emigranci.

Pojęcie emigracji politycznej dorobio no później. Ex post i ad hoc. Ludzi, którzy nie odróżniali PPS od PSL, komunizmu od faszyzmu, a reformy rolnej od nacjonalizacji przemysłu zaliczono ryczałtem do obozu „nieprzejednanych przeciwników“ rządu „warszawskiego“ (nawiasem mówiąc, odkąd to stołeczny „charakter“ ma sens pejoratywny?). Człowiek, którego deportowano na roboty do Rzeszy lub wzięto do niewoli we wrześniu 1939 r., został ni stąd ni zowąd pasowany na ofiarę różnicy przekonań światopoglądowych „osobistego nieprzyjaciela“ rządu nowej Polski. Zbiorem mianem emigracji politycznej objęto zarówno oenerowców, którym się nie udało opanowanie władzy w kraju, jak i volksdeutsche'ów lub niechętnych kolaborantów, którzy istotnie w kraju nie mają dla siebie klimatu; co więcej — nazwą tą objęto również tych, do których nie dotarły dokładne informacje z kraju, jako też tych, którzy wyjechali z Polski przed blisko 7 laty i tym samym zatracili poczucie rzeczywistości krajowej; nazwę tę zastosowano tak do życiowych tchórzów, jak i do osobników, którzy nie mogą wracać do starych żon w Polsce, bo mają nowe żony zagranicą; sprowadzono do wspólnego mianownika i tych, co próbują „przewietrzyć się“ po świecie („podróże kształca“), i tych, co w businessie znaleźli cel swego osobistego życia.

I teraz do tego galimatiasu przypadków dorabia się ideologię. Pełno jej w czasopiśmie, pełno w książkach i broszurach emigracyjnych. Co chcą one udowodnić? Potrzebę trwania w opozycji do dzisiejszej rzeczywistości polskiej, której... nie znają. „Pragnienie jest ojcem myśli“, przeto twierdzi się, że emigracja jest jedynym wyrazicielem praw

dziwej woli narodu polskiego, bo „w klęskach NKWD nie ma na ziemiach polskich możliwości zorganizowanej obrony naszych pojęć“. Emigracja ma się podjąć obrony naszej odrębności cywilizacyjnej, a nawet państwowej. „Skoro nie możemy tego zrobić należycie w Polsce“. W Polsce posiadamy jedynie możliwość wypowiedzenia w ojczystym języku „dogmatów rosyjskiej cywilizacji i radości, że się jest częścią składową sowieckiego narodu“. Przeżywać problem naszej cywilizacji możemy tylko na Zachodzie, gdzie podjęto „zorganizowany wysiłek zbiorowy walki o rzeczy najwazniejsze“. Bo przecież ci wszyscy zbiegowie, przypadkowi emigranci, roznodni, kombinatory polityczni i handlowi, poszukiwacze przygód etc. po to tylko „wyszli z domów, aby wyglądać z oblicza ziemi zło, zwane niewolą“).

II.

Więc znowu „obrona“, więc znowu „przedmurze“. Czasami to się nazywa „wał środkowo - europejski“, czasami „ordon sanitaire“. Zawsze w interesie — nie, broń Boże, określonego kraju, lecz — zagrożonej cywilizacji zachodniej, zwanej często cywilizacją chrześcijańską.

O jaką cywilizację mamy walczyć? Papież Pius XI w encyklice Divini Redemptoris, wydanej w okresie, kiedy Włochami rządził faszyzm, kierunek bardziej rzymski, aniżeli watykański, mówi o prawie jednostki do życia, nie naruszalności ciała etc. Tymczasem Rosja mówi o materializmie, podporządkowuje jednostkę państwu etc. Kontrast — rzekomo — jaskrawy, linia podziału — rzekomo — wyraźna. Ba! „każda klęska wyraźnie stawia przed nami kontrasty cywilizacyjne“, przez co tym głębiej czujemy się niepodlegli. Mało tego: „racja cywilizacyjna była zawsze mocniejsza od racji państwowej“. Raczej więc utrata państwowości, aniżeli uronienie czegośkolwiek z cywilizacji zachodnio - europejskiej. Państwo Polskie musi szukać sojuszników w swoim otoczeniu (kogo prócz Czechosłowacji?) „w obronie swojej koncepcji cywilizacyjnej“. Ale wprawdzie musi stoczyć walkę wewnętrzną „pomiedzy zwolennikami zachodniej a zwolennikami wschodniej koncepcji cywilizacyjnej w społeczeństwie polskim“. Kto chce uchodzić za realiste, ten musi dbać o „zachowanie naszej odrębności cywilizacyjnej i bytu narodowego“, nikomu nie wolno poddawać się „niwelacyjnemu wpływowi Rosji“. Przeważnie: współpraca polityczna i wspólżycie kulturalne z Rosją są równoznaczne z rezygnacją z odrębności cywilizacyjnej i narodowej.

W czym jednak tkwi owa odrębność cywilizacyjna, którą mamy zachowywać, której mamy bronić? Polska koncepcja życia jest koncepcją Zachodu, „gdzieś zagubiona(!) na wschodzie Europy, wtłoczona pomiędzy obce kultury“. Ze nie jest to koncepcja a la Hitler, tego nikt nie próbuje udowodnić. Nie jest to również zachodnio - europejski standart of life: „dla pseudo - europejskich Europejczyków i wyższą kulturą było: lepiej niż inni jeść, pić, ubierać się, mieszkać i bawić się“. Na to my nie idziemy. A więc?

¹⁾ Te i dalsze cytaty z broszury Stanisława Neczeja „W tej walce chodzi o sprawę człowieka (Londyn, 1946).

Pozbawieni bezpośredniego związku z codzienną pracą życia, oderwani od rodzinnego podglebia, dobrowolnie emigranci nie wiedzą, czym jest polska rzeczywistość. Nie znają naszych potrzeb, nie rozumieją, o co toczy się walka w Polsce, o miejsce Polski pod słońcem, o dopuszczenie całego społeczeństwa pracującego do wpływu na bieg spraw politycznych, gospodarczych i kulturalnych, o upowszechnienie kultury, o mocne podstawy państwa i gospodarki narodowej.

Zwalczają nasz wielki wysiłek, widząc w nim utratę „ideału“ w „szarzyźnie“ gospodarki. Jak Zygmunt Krasiński po 1831 r., w rozbudzeniu życia gospodarczego widzą „przysypywanie grobu ojczyzny burakami i pszenicą“. Wreszcie nawołują nas, byśmy „wrócili do humanizmu“.

Cóż to jest ów humanizm? Jaki on jest (czy ma być?). Ma to być humanizm „demokratyczny, obdarzający zaangażowaniem każdego człowieka, nie nakładający nań jarzma cudzego racjonalizmu“. Ze słów tych przebija personalizm katolicki, wrogi — jak sam przyznaje — „ujednoliceniu warunków życia i wyeliminowaniu nierówności i głowiska, w którym człowiek żyje“, przeciwny zatem procesowi demokratyzacji czyli upowszechnieniu kultury. Pod pozorem, że tu chodzi o „bogactwo duchowe“, które się marnuje w ramach horribile dictu demokracji, kierunek ten wielbi „tradycję narodową“, broni przeszłości i zamyka oczy na zmienność form i metod. Jest on, co więcej, kierunkiem anarchistycznym, twierdzi bowiem, że „państwo nie ma prawa urabiać człowieka“. Czy monopol na to „urabianie“ ma należeć do Kościoła, czy do wielkokapitalistycznej prasy, radia, itp.?

Zerwanie z rzeczywistością prowadzi prosto do utopii i — naiwności. „Moralne środki znaczą tyle samo, co moralny cel“. „Jesteśmy skrepowani wyłącznie nakazami moralnymi“. „Organizacje państwa światowego można zbudować jedynie na zasadach Unii Horodelskiej“). „Cały postęp moralny ludzkości może być mierzony stopniem praktycznego stosowania miłości bliźniego“. Widocznie dłuższy pobyt w Anglii, której historia aż się roi od przykładów „praktycznego stosowania miłości bliźniego“ (np. w stosunku do Irlandii, własnych chłopów, Francji od 3 stuleci, etc.), wpłynął na powstanie podobnych „czeków bez pokrycia“. Mistyka? Nie! Mistyfikacja.

III.

Ludzie, którzy do Polski obecnej wrócić nie chcą, a „inna“ Polska nie ma szans na urzeczywistnienie, patrzają na sprawy polskie z leżką w oku, bo — przecież — tęsknią. Ale leżka przesłania pole widzenia lub je deformuje. Powstaje jakaś zamazana perspektywa, kontury gubią się we mgłę, fantazja utożsamia się z rzeczywistością, wady stają się cnotami.

²⁾ Pod warmaktem — dodajmy od siebie — że nastąpi rzeczywista równowaga sił i takie samo zagrożenie, jakie spowodowało w XV stuleciu zawarcie unii polsko - litewskiej. Trudno przypuszczać, aby już ten moment nastąpił i by się na to zgodzono choćby takie imperium brytyjskie.

„Ci, co chcieli ojczyznę odbudować, zamiast szukania i budzenia sił własnych na miejscu, szli włożyć się za legiami obcym wojownikom i mocarzom służebnymi“.

Joachim Lelewel

Złudzeniem — i to niebezpiecznym — jest, że dzieje Polski są dziejami — wewnętrznymi — idealnymi. Nasza, w ostatnich dwóch stuleciach, słabość polityczna wynika zarówno z naszego położenia geo - politycznego, jak i z braku realizmu w ujęciu sytuacji. Oszukujemy siebie i innych (o ile ci „inni“ w ogóle oszukać się dadzą), protestując przeciwko twierdzeniu, że Polska była „feudalnym anachronizmem“. Pełni samouwielbienia, z oburzeniem odrzucaliśmy tytuł, dany przez Włocha, Carlo Sforza, Pilsudskiemu — „dyktator anachroniczny“. W tym anachronizmie, w tym zabubieniu rytmu współczesności, tkwi owa odrębność Polski: nie tyle cywilizacyjna, ile — że tak powiem — myślowa. Myśleć? Nie, my nie myślimy; my czujemy. Czujemy się dobrze w okresach klęsk, atmosferze pogrzebu, klimacie biedy. Bierzemy siły „ze wspaniałego NIE WIEM i wspaniałego WIERZE“. Wnioski „wyczuwamy podświadomie“, aby, broń Boże, nie dać rozsądkowi dojść do głosu. Dumni nawet jesteśmy, że „brak poczucia rzeczywistości był i będzie dopóty naszym ratunkiem, dopóki nie uzyskamy prawdziwej niepodległości i bezpieczeństwa przed zagładą“.

Zachłystujemy się samouwielbieniem, gloryfikujemy przeszłość, a nad terażniejszością przechodzimy do porządku dziennego, ponieważ „nie o takiej Polsce sniliśmy“.

Tymczasem jesteśmy społeczeństwem wysoce niekonsekwentnym i bezplanowym, konserwatywnym i niedemokratycznym, mazgajskim i tchórzliwym. Boimy się skończyć, cośmy zaczęli, cofamy się przed realizacją słów, które w ten sposób zamieniają się w kompromitujący frazes. „Jesteśmy — jak powiedział S. Żółkiewski — krajem, który konsekwentnie i do końca nie przeprowadził żadnej reformy“). W szczególności reformy rolnej, uchwalonej ze strachu w 1920 r., a stordowanej przez ziemianstwo, bogatych chłopów, sanatorów i wyższych wojskowych ze Smigłym na czele. Mając 19 lat na jej przeprowadzenie (jakby inaczej wyglądała struktura wsi polskiej i obecna sytuacja żywnościowa!), ciągnęliśmy tę reformę, jak gumę, w nadziei, że trzaśnie i że nie z niej nie wyjdzie. Tak samo było w 19-tym i 20-tym wieku z uprzemysłowieniem kraju, nie inaczej w 19-tym wieku ze zniesieniem pańszczyzny.

Na konsekwencję i brutalność mogła była sobie pozwolić owa „idealna“ Anglia, ale nie Polska. Pierwsza uzyskała dzięki brutalizmowi w przeprowadzeniu rewolucji agrarnej solidną materialną podbudowę dla kapitalizmu, druga natomiast, zraziwszy sobie niewdzięcznych ziemian, nie zdobyła sympatii chłopów i, co gorsza, nie usunęła klęski przedludnienia wsi i rolnictwa. Gdy gdzieś indziej działano szybko, z rozmachem, celowo i twórczo, my — rzekomo „Polska Chrystusowa“ — byliśmy krajem szlacheckiego zacofania i chłopskiego ucisku“), zacofania technicznego, wstecznicstwa, które usiłuje się zasłonić bliżej nieokreśloną „tradycją narodową“ i od wieków przeżytych form pracy.

IV.

Cytując po raz niewiadomo który słynny wierszyk, powiemy pod adre-

³⁾ i ⁴⁾ „Kuźnica“ nr. 24.

sem rodaków, przebywających i — co gorsza — piszących na obczyźnie: „Prze stańcie, bo się źle lawiciele; dla was to jest igraszka — nam chodzi o życie“.

Dla was to wszystko, co głosicie i piszecie, jest igraszką słów. Słowa nie kosztują tyle, ile kosztuje rzeczywisty wysiłek życia. A wy, autorzy emigracyjnych psalmów i utopii, odwykliście od takiego wysiłku. Za to nas, pracujących

ciężko w kraju, klepiecie po ramionach, dając do zrozumienia, że i tak z tego nie wyjdzie. Przecież dlatego też i nie wracacie do nas, bo chcecie pilnować świętego ognia polskiej odrębności cywilizacyjnej. Gdy nas, 23 miliony Polaków, wymordują, wy jedni, nieskażeni miazmatami Wschodu, przechowacie ten święty znicz, tę narodową arkę przymierza. Z was narodzią się nowi, prawdziwi Polacy, którzy godnie strzec będą pier-

wiastka cywilizacji zachodniej w kopalniach Zachodu (i w niemieckich więzieniach, jeżeli tamtejsze „displaced persons“ będą nadal darmo jady chleb unrowski, o który znacznie trudniej w walczającej ze skutkami wojny Polsce).

Nam istotnie chodzi o życie. Nie obrażamy go sobie w fantastycznych warunkach wizji, które snujecie wy tam na emigracji. Przeciwnie — przeszkody piętrzą się na każdym kroku. Niektóre

z nich zawdzięczamy — wam. Ale i z nimi mamy sobie radę.

Mówicie i piszecie, żeśmy skapitulowali. A my pracujemy dla Polski rzeczywistej. Jeśli czemu sprzeniewierzyliśmy się, to tylko tej tradycji narodowej, która z irracjonalizmu czyni narzędzie działania, z ignorancji — oręż walki, z obrony — fundament strategii, a z emigracji — naród.

Kazimierz Sokolowski.

APOLONIUSZ ZAWILSKI

PRZYCZYNY KŁĘSKI WRZEŚNIOWEJ 1939 *)

Gdy we wrześniu 1939 r. klęska wydała się gromem z jasnego nieba, to dzisiaj, po upływie 7 lat i przewaleniu się strasznej w skutkach „wojny totalnej“ narodów, można sobie zadać jasno sprawę z przyczyn naszej przegranej i wysnuć z nich wnioski, w jaki sposób można uniknąć katastrofy lub przynajmniej zmniejszyć jej rozmiary.

Oczywiście, nie odwróci dokonanego faktu historycznego, niewątpliwie jednak zanalizowanie popełnionych wówczas błędów może wpłynąć na uniknięcie podobnych błędów w przyszłości. Wydawałoby się, że należało już dawno wyciągnąć naukę z tych faktów; tymczasem już po klęsce popełniono analogiczne błędy w polityce i ocenie sił własnych, płynące ze złej woli i lekkomyślności, które usiłowały sprowadzić naród na manowce. Jest to dowodem, że zachodzi potrzeba jak najszerszego zanalizowania początku naszego fałszywego biegu, zdarzenia z oczu zastan przeskądających ogarnęły jasnym spojrzeniem rzeczywistość dziejową, aby wyjść na drogi prawidłowego rozwiązywania zadań, które stoją przed naszym pokoleniem.

PRZYCZYNY WOJSKOWE

Charakter zjawiska każe nam omówić przede wszystkim wojskowe przyczyny klęski, gdyż one były bezpośrednim powodem załamania się. Na ich tle dopiero wyjdą na jaw przyczyny dalsze. Są one dzięki wszechstronnej i wnikliwej pracy plk. dypl. Kirchmayera p. t.: „Kampania wrześniowa“ dość dobrze znane, dlatego ograniczę się do ogólnego ich wymienienia. Następnie postaram się sformułować koncepcję, która mogłaby zmienić przebieg wojny, nie wpływając — co jest jasne — na ogólny jej wynik t. j. przegraną.

Polska 1939 r. występując do walki z Niemcami znajdowała się w nadzwyczaj niekorzystnym położeniu strategicznym. Granica państwowa z Niemcami rozciągała się na długości 1912 km; od północy bastion Prus Wschodnich zagrażał prawie bezpośrednio stolicy będąc od niej odległym o 110 km; od południowego zachodu z obszaru Śląska, od południa z obszaru Słowacji był zagrożony obszar przemysłowy Polski. Kleścze frontu niemieckiego wciśnięte się głęboko w obszar Polski, ukazując nieuniknione widmo zwarcia się na granicy etnograficznej państwa. Położenie to w zasadzie wykluczało możliwość skutecznego prowadzenia walki, mimo to uznano, że taka możliwość istnieje. Jak dowództwo wyobrażało sobie przeprowadzenie obrony w tych warunkach? Czy przyjęło rozwiązanie operacyjne choćby w części odpowiadające położeniu? Oto większa część wojska — bo aż 8 armii i grup operacyjnych została wyciągnięta wzdłuż granicy na łuku 1000 km, tj. tylko o połowę krótszym niż cała długość linii granicznej. Dowódcy armii poglądali błędy zasadniczego ugrupowania wysyłając na przedpole liczne oddziały wydzielone, które nieraz dochodziły do 20% całej armii. Długa sztyka korytarza pomorskiego aż do Starogardu została obsadzona wojskiem, nie licząc osamotnionej wyspy obrońców brzegu morskiego. Dziś wiemy, że przyjęte ugrupowanie sił wypływało z niewiary w możliwość wojny, ale czyż może to stanowić jakikolwiek usprawiedliwienie?

Przy tak zdecentralizowanym rozlokowaniu jednostek dowództwo naczelne scentralizowało całe rozkazodawstwo w swoim ręku, nie mając dla należytego dowodzenia ani dostatecznej łączności, ani odpowiednio rozbudowanego sztabu. Cóż ukazała nam rzeczywistość wojenna 1939 r.? Oto długi, rozciągnięty i płytki kordon obrony pękł zaraz w pierwszych dniach natarcia niemieckiego. Dywizje zaczęły wykonywać odwrót wymuszony, który spóźnione rozkazy Rydza-Smigłego raczej zatwierdzały niż nakazywały. Oddziały polskie po całonocnych, ciężkich marszach po drogach gruntowych zatrzymywały się na dzień, aby znów rozpraszać się pod miazdzącymi ciosami niemieckiej broni pancernej i nalotami z po-

wietrza, często przychwycone w marszu i niegotowe do walki. Uderzenia niemieckie skierowane ze Śląska na Częstochowę i Łódź, z Prus Wschodnich — na południe i z Pomorza Zachodniego — w poprzek korytarza — nie napotkały faktycznego oporu. Kolejne przesuwanie linii obronnej na Wisłę i San, potem Bug a wreszcie Stryj było pobożnym życzeniem dowództwa, gdyż już do końca kampanii żadna z tych linii nie została obsadzona i utrzymana — choćby częściowo. Wypadki rozgrywały się niezależnie od rozkazodawstwa, lecz w ścisłej zależności od postępow wroga. Próba rozegrania większej bitwy nad Bzurą wykazała nieudolność dowództwa operacyjnego i zaskarżającą nikłymi polskimi dywizjami w działaniach ruchomych, podczas gdy Niemcy, wykonawszy gros swoich zadań operacyjnego rozciągnięcia obrony polskiej w środku i zrolowania jej od północy i południa, mogli przeciwstawić tym próbom przeważające siły. Kampania w ciągu 18 dni była rozstrzygnięta. W tych warunkach wkroczenie wojsk radzieckich na wschodnie obszary Polski dla kampanii miało tylko znaczenie formalne.

Jakież uwagi nasuwają się nam dzisiaj, gdy nareszcie możemy ogarnąć całość wypadków wojennych września 1939 r.? Zasadnicza uwaga (która zdawałoby się wyczerpuje zagadnienie) to całkowite fiasko polskiej obrony, nierealność jej planu i niemożność jej wykonania. Dalej — to niewspółmierność użytych środków i sił, a wreszcie biegunowe różnice w samej technice walki. Wydaje się to nam zrozumiałe i nie wymagające żadnych komentarzy, jako coś, o czym już musieliśmy.

Postaramy się jednak popatrzyć na nasze zadanie innymi oczami. Wrzesień 1939 roku nie był pierwszym starciem orężnym Polski i Niemiec. Mieliśmy w naszej historii Grunwald i mieliśmy jeszcze wcześniej długotrwałe zmagania Bolesławów. Podczas gdy Grunwald był zwycięskim triumfem koalicji, to walki Bolesława Chrobrego i Bolesława Krzywoustego były prowadzone sam na sam. Jakież oni rozrywali te nierówne zapasy? Wiemy, że nie stawiali oni oko w oko wobec całej potęgi niemieckiej, bo to nieuchronnie prowadziłoby do zagłady, lecz szukali takich sposobów, które ogólnie sprowadzały się do zaskoczenia, niszczenia części sił nieprzyjacielskich i wprowadzania Niemców w błąd. W rezultacie ciężkich bojów utrzymywali przez 3 wieki swój stan posiadania, a nawet odnosili sukcesy w działaniach zaczepnych.

Jakże można by dostosować te formy walki do XX wieku, w którym decydującym atutem jest żelazo i ogień, a w niedalekiej przyszłości może być broń jeszcze straszniejsza? Sama myśl o jakichś możliwościach na tej drodze rozumowania wydaje się nonsensem. Ale to tylko dlatego, że jej nie podjęto. A nie podjęto dlatego, że dowództwo kampanii wrześniowej nie zdobyło się na twórczą i samodzielną koncepcję przeprowadzenia obrony. Zamiast szukać rozwiązań oryginalnych, odpowiadających naszemu poziomowi gospodarczemu i właściwościom psychiki narodowej, poszło po linii „wielkiego“ dowodzenia, manewru operacyjnego i tym podobnych akcyj oficjalnej doktryny wojskowej, dla której nie było u nas warunków.

Niemcy wystawili przeciwko nam 61 wielkich jednostek, w tym 14 pancernych i zmotoryzowanych oraz dwie floty powietrzne po tysiąc pięćset samolotów każda. Nasze siły zamykały się w granicach 39 dywizji piechoty i 11 brygad kawalerii, 2 brygad zmotoryzowanych, 38 kompanii broni pancernej bez żadnego znaczenia i skromnej ilości 771 aparatów lotniczych. Choć stosunek ilościowy jednostek nie był katastrofalny, to faktyczny stosunek sił był bez porównania gorszy, zważywszy na brak ze strony polskiej dostatecznej obrony przeciwpancernej i jeszcze większy brak obrony przeciwlotniczej, nie licząc przytłaczającej przewagi Niemców w uzbrojeniu wielkich jednostek. Jeśli uprzytomimy sobie nasze katastrofale położenie geograficzne, to jasne być musi, że o rozegraniu bitwy dającej nadzieję zwycięstwa nie mogło być mowy. Lecz istniały jeszcze dwa

momenty, które stanowiły nie lada argument w walce z Niemcami: wygranie jak najdłuższego czasu i zniszczenie możliwie największych sił nieprzyjaciela. Mogło to mieć w ówczesnej ocenie wielkie znaczenie dla zachodnich sojuszników Polski. Przy takim założeniu już staje się jaśniejsza myśl przewodnia działania: nie dążyć do osiągnięcia operacyjnych, lecz prowadzić walkę, nie wyczerpywać wojska marszami, lecz zużyć jego energię na starcie z wrogiem. Już staje się prawie jasna koncepcja ugrupowania. Wobec istnienia nieprzyjacielskiego lotnictwa i broni pancernej z jednej strony, a szczupłości polskiego obszaru z drugiej — jasne musiało być dla fachowców, że cały obszar państwa będzie terenem jednej wielkiej bitwy. W takim wypadku siły zbrojne muszą być rozmieszczone na całym obszarze. Obszar ten przecina południkowy bieg Wisły i Sanu, od północy od Prus oślania Narew. Rzeki te i Karpaty na południu muszą być umocnione i bronione, gdyż dają to czas i pozwala zadać nieprzyjacielowi straty.

Znaczna część sił przyjmie walkę na zachodnim brzegu Wisły, broniąc linii najkrótszej, a więc Kutno-Łódź-Kraków, bez żadnej myśli o wyczynach operacyjnych, lecz z zadaniem walki — kierowanej, jeśli będą po temu warunki, zdecentralizowanej — w warunkach rozbicia większych jednostek. Walka ta będzie polegać na trwaniu na stanowiskach w ciągu dnia, obronie miast będących na drodze pochodu wroga lub ukrytym wycokowaniu w lasach i zdecydowanych natarciach i wypadach w porze nocej. Noc jedyną naszą szansą — pozbawia nieprzyjaciela opanowania jego przewagi w broni pancernej i lotnictwie. Noc pozwoli nam zatem wykonać zaskoczenie i wykorystać maksymalnie posiadaną broń. Ludność dostarczy wojsku wiadomości o nieprzyjacielu, jego sile i rozlokowaniu. Ludność wskaże drogi podejścia.

Oczywiście wojsko musi wiedzieć, że czeka je tego rodzaju walka, musi być do niej przygotowane. Dowódcy nie może błędzić wśród nocny i musi być gotowy na każde ryzyko.

Wyobraźmy sobie posuwanie się klinów niemieckich w głąb kraju przy takiej koncepcji obrony. Oddziały nie mają się cofać dla tworzenia nowego frontu, bo i tak by go nie utworzyły. Niech zawiązują walkę z tym nieprzyjaciелеm, którego napotkają przed sobą, z boku lub z tyłu. Czy nie da to wyników, jeśli w ciągu kilku po sobie następujących nocy Niemcy na całym froncie spotkają się z tak nieoczekiwanym rozwojem walki. Będzie to pełne zaskoczenie taktyczne. Kawaleria ma możliwość zaskoczenia w jeszcze większym stopniu, gdyż może w ciągu kilku godzin nocy przebyć znaczną odległość i zaatakować nieprzyjaciela w nieoczekiwanym miejscu. Gdybyśmy poszli dalej i nauczyli naszych żołnierzy wykorzystywać zdobycy na nieprzyjaciela sprzęt, byłby to jedyny dla nas w tym położeniu sposób uzupełnienia broni i amunicji i dalsze zaskoczenie dla wroga. Oczywiście nie można liczyć na same sukcesy. Aktywna obrona polska musiałaby po jakimś czasie ulec, lecz zadalaby straty i zyskała na czasie. Później nastąpiłaby obrona Wisły, aby dać czas dla uporządkowania się oddziałów rozbitych, a wreszcie ostatni akt obrony: walka na wschód od Wisły.

Jeżeli we wrześniu 1939 r. — w warunkach kompletnego zaskoczenia niemieckim sposobem walki, (kiedy tempo naszego odwrotu hamował tylko nocny przemarsz piechury), w warunkach olbrzymiego chaosu, bezradności dowództwa, bezzwrotnych marszów wojska pochłaniających 90% energii, ucieczki ludności — walki trwały 4 tygodnie, to w warunkach planowego i zdecydowanego oporu walka ta musiałaby trwać znacznie dłużej i zadalaby nieprzyjacielowi o wiele większe straty, podczas gdy straty polskie, i tak ogromne na skutek rozproszenia oddziałów i bombardowań kolumn marszowych, nie powiększyłyby się tak znacznie.

Są to oczywiście dzisiaj tylko fantazje. Lecz czy nie mogły się one stać rzeczywistością, gdyby odpowiedzialni kierownicy wojny zechcieli zawczasu przestudiować

wnikliwie formy przyszłej walki i dostosować do niej swoją obronę?

W kampanii wrześniowej, w przyjętych warunkach politycznych mieliśmy szansę obronić honor. Czy taka obrona honoru nie mogłaby się stać wzorem dla innych narodów, które wystąpiły po nas do walki? Można sceptycznie ocenić solidarność narodów europejskich, lecz nie można sobie wyobrazić, aby nasze sukcesy obronne pozostały bez echa. Mogły one nadać zupełnie inny bieg wojnie. Jeśli się to wszystko zważy, to widzi się jasno winę kierownictwa wojskowego, które przygotowując się do wojny nie zadało sobie trudu wypracowania polskiej doktryny walki. Tym bardziej jest to karygodne, że w niektórych umysłach kiełkowało przewidywanie co do charakteru przyszłej wojny. Wymienić tu można choćby książkę gen. Mossora p. t.: „Sztuka wojenna w warunkach nowocześniejszej wojny“, która dawała pojęcie jakiegoś elementu będącego wchodzącą w oczekiwaną wojnie w rachubę.

Niestety dowództwo wojskowe składało się z ludzi, którzy znali tylko formy pierwszej wojny światowej, i to na froncie wschodnim, a co gorsza — wojny 1920 roku. Nie mając należytych podstaw teoretycznych, obarczani wspomnieniami mało znaczących epizodów swojej osobistej kariery na szczeblu kompanii lub baonu, nie zdołali przerosnąć tego, czego się raz nauczyli. Dlatego w zakresie pełnego zdawania sobie sprawy z przejawów wojny, z przeobrażeń jej form i środków dowództwo nasze było o wiele za młode, szczególnie gdy je zastawić z bogatym w tradycje i wiadomości junkierskim dowództwem niemieckim.

Lecz pozostawało jeszcze świeże, twórcze, niezmącone podejście do konkretnego przykładu naszej rzeczywistości i naszych warunków bez oglądania się na teoretyków wojny — szczególnie na teoretyków zachodnio-europejskich, którzy tworzyli swoje konstrukcje dla zgoła innych warunków.

Niestety, pod tym względem dowództwo wrześniowe było za stare. Nie potrafiło wyzwać się z zakłętą mocy formuł, schematów, frazeologii operacyjnej. Zaprzężone w sugestywną moc improwizacji Piłsudskiego, czcząc geniusz operacyjny Napoleona, nie dostrzegali realnych kryteriów nowoczesnej wojny. Lecz gdy dywizje napoleońskie biegały na polu walki, to tutaj operacje miały wykonywać dywizje, które w warunkach rzeczywistości wrześniowej, spętane tasiecowymi taborami, pędziły z szybkością 3 km na godzinę.

Reasumując przyczyny wojskowe klęski, można je ująć w 4 zasadnicze punkty: 1) Błędna ocena zamiarów Niemiec i niewiara w możliwość wojny, a w związku z tym wadliwe ugrupowanie wyściele sił; 2) Błędna ocena sił własnych i nieprzyjaciela; 3) Podstawowy brak walki; 4) Nieudolność w dowodzeniu i niedostatecznie silna wola walki.

Na tle tych stwierdzeń, na tle przebiegu kampanii wrześniowej, zabawna się dziś wydaje niesłychana pewność siebie dowódców i sztabów, śmiešno — zażadne strzeżenie wszelkich wiadomości. Pomijając już okres przygotowań do obrony, nawet w okresie samej walki niżsi dowódcy nie otrzymywali prawie żadnych informacji o nieprzyjacielu, o sytuacji poza alarmistycznymi wzmiankami np. „broń pancerna na tyłach“ itp. Nawet dowódcy tej kategorii, co dowódcy artylerii dywizyjnej, nie znali zamiaru swego dowódcy armii, nie mieli wglądu w rozkazy operacyjne. Toteż musieli wiadomości niezbędne do swojej decyzji po prostu wykradać!

W ten sposób oddziały bez broni, bez rozumnej woli kierowniczej, pozbawione rzeczywistych wiadomości o nieprzyjacielu, choć rozpoznawanie pracowało, odcięte od kierownictwa operacyjnego odległością i nieznamościami jego zamierzeń — były igraszką losu pod ciosami jednostek pancernych i lotnictwa nieprzyjacielskiego, które, nie napotykając żadnych niespodzianek, parły naprzód, aby święcić swój krzyżacki triumf i rozprzestrzeniać panowanie niemieckiego oręża.

Apoloniusz Zawilski

*) Drukujemy pod tym tytułem cykl artykułów omawiających błędy, które złożyły się na taką, a nie inną przelęg i wynik walk we wrześniu 1939 r.

HENRYK EILE

Z DZIEJÓW ODBUDOWY WARSZAWY

Na podstawie uchwały sejmu lubelskiego z 1569 r., Warszawa stała się siedzibą sejmów polskich. W 27 lat później, przed trzema i pół wiekami, gdyż w dniu 18 marca 1596 r., Warszawa stała się także rezydencją królów. Odtąd oficjalna nazwa

nej przemieniała się coraz bardziej w murywaną.

Przyczynami, które powodowały konieczność odbudowy były: najazdy, walki uliczne oraz klęski żywiołowe, zwłaszcza w postaci pożarów i powodzi, Walkę z ty-

życiu nie widział tak pięknie ułożonego stosu paliwa".

Najdawniejsze zarządzenie, normujące w Starej Warszawie sposób zarówno rozbudowy, jak i odbudowy, pochodzi z 1431 r. Wówczas, „gdy znowu nieszczęśliwym pożarem (miasto) dotknięte zostało, panujący książę zastrzegł pod surową odpowiedzialnością prawa, aby odtąd, szczególnie w rynku, tylko murywane domy stawiano". W kilkadziesiąt lat później, w 1478 r., pożar „część Starego Miasta od Dunaju aż po Piwną ulicę zniszczył a wylew Wisły w 1475 r. całe osady nad tą rzeką pozniósł". A kiedy w 5 dalszych lat później znowu duża część Starej Warszawy spłonęła, zwolniono mieszczan od płacenia podatków „byliby się należycie odbudowali". W 1538 roku nawiedził znowu Starą Warszawę dotkliwy w skutkach pożar. By złagodzić jego następstwa, Zygmunt I ofiarował na cele odbudowy miasta połowę cla królewskiego w wysokości 60 złotych. U schyłku XVI wieku, w r. 1593, powódź „prawie całe nadbrzeże Wisły i przedmieścia zalala i zniósł".

W czasie obrad sejmowych Stara Warszawa tylko z trudem mogła pomieścić szlachtę, która zjeżdżała się z całego państwa. Ustawiano wówczas kuchnie z desek na rynku Starego Miasta. W jednej z nich wybuchł w 1607 r. pożar, którego pastwą padły „w samym rynku Starej Warszawy 22 kamienice, nie licząc domów po ulicach sąsiednich". Skutki tego pożaru ujęła cyfrowo druga z rzędu lustracja, dokonana w 1620 r. Otóż wykazała ona, że na przestrzeni czasu pomiędzy nią a ją poprzedzającą, poprzednio wspomnianą lustracją

zważy, że w obu miastach pozostało łącznie zaledwie 306 domów. Spłonęło tedy domów znacznie więcej, niż ocalało.

Przez następnych 30 lat, tzn. do połowy XVII wieku, Warszawa intensywnie się odbudowywała: „Powstało wtedy mnóstwo dworów i pałaców. Pałace te i dwory w większej części były drewniane, z powodu bardziej zwyczajny, jak z braku potrzebnych do muru materiałów, chociaż wiele było także murywanych...". Jarzemski w poemacie pt. „Gościniec albo Opisanie Warszawy 1643 roku" wskazuje na:

„Bardzo kamienice śliczne
W Rynku. Także i uliczne
Błyszcza się od ziota prawie,
Niemasz takich w Czersku, Rawie,
To onej Warszawie ozdoba
Nie zmurując je chudoba!
Na nich dziwne rysowanie
Farbami ukształtowanie".

W 1655 r. ukazała się pierwsza taryfa Starej Warszawy („Descriptio albo Comput Kamienic, Dworów... tak w Mieście iako y po Przedmieściach Starej Warszawy w roku 1655 diebus Septembris uczyniony"), ułożona w związku z reparycją okupu („Lytrum sueticum"), nalożoną przez Szwedów po zajęciu miasta. Według tej taryfy: „Stara Warszawa wraz z przedmieściami miała 737 posesyj, między którymi 160 murywanych, a reszta drewnianych". Po odbudowie, miała więc stara Warszawa 223 posesyj więcej, niż wykazywała lustracja z 1564 r. a o 557 więcej, niż wykazywała lustracja z 1620 roku. W szczególności właściciwa Stara Warszawa liczyła 198 posesyj a to „149 kamienic i 49 domów", zaś przedmieścia „miały posesyj 539, między którymi tylko 11 kamienic, a reszta same domy, dwory i dworki, nawet chaty i chałupy drewniane". Na wspomnianych 737 posesyj było mieszkalnych 660.

Najazdy szwedzki i węgierski (1655-1657) odbiły się tak bardzo ujemnie na Warszawie, że: nikt już Warszawy poznać nie mógł, tam bowiem gdzie wspaniałe dwory wznosiły się, trawa natenczas porosła, domy stały pustkami lub rozwalone — przejścia w ulicach tamowały. Wogóle oba miasta, stare i nowe, więcej tedy pustych placów niż zabudowań posiadały". Według innego źródła, Warszawa to: „Kupa gruzów i zwalisk... Świątynie i pałace popalone lub zrujnowane, wszystkie drewniane domy w popiele". Dowiadujemy się poza tym: „Wprawdzie stany sejmujące w r. 1659 uchwaliły komisję dla ozdobienia i ubezpieczenia miasta; uczynioną nawet została rewizja całej Warszawy... lecz serce pęka z żalu czytać ją po szczegółach". Według wspomnianej rewizji, Stara i Nowa Warszawa wraz z przedmieściami liczyła 342 domów. Na przestrzeni tedy trzech lat „Warszawa zmniejszyła swą ilość



Canaletto

Plac Krasieńskich

Warszawy opiewała: „Miasto Jego Królewskiej Mości Rezydencyonalne Stara Warszawa". Po przyłączeniu zaś do niej Nowej Warszawy oraz jurydyk (Leszno, Grzybów, Marienstadt, Tamka, Ordynackie i in.), co ostatecznie sprawiła uchwała przez Sejm Czternastki ustawa z dnia 18 kwietnia 1791 r. pt. „Miasta Nasze Królewskie Wolne w Państwach Rzeczypospolitej" — oficjalna nazwa Warszawy opiewała: „Miasto Wolne Wydziałowe y Jego Królewskiej Mości Rezydencyonalne Warszawa". Była tedy Warszawa w dobie dawnej Rzeczypospolitej jej stolicą — faktycznie. Taki też charakter zachowała aż po dzień dzisiejszy. Nie została bowiem w sposób formalny uznana stolicą również i po rozbiorach.

Dzieje Warszawy układały się odmiennie, niż dzieje innych stolic. Warszawa bowiem dzieliła szczególnie ścisłe losy państwowości polskiej. Warszawa była wtedy wolna, była niewolna. Doświadczala wzruszeń „szczęścia odmiennego na świecie" m. in. kiedy w 1578 r. Stefan Batory, a w 1611 r. Zygmunt III, odbierał publicznie hold lenny od książąt pruskich, którzy klęcząc zaprzysięgli wierność i posłuszeństwo, kiedy na przestrzeni lat 1589 — 1764 dziesięciokrotnie składali królom polskim hold książęta kurlandzcy, kiedy w 1611 r. hetman Żółkiewski, po zdobyciu Smoleńska „honorificentissime" do zamku prowadził pojmanego cara moskiewskiego, a z drugiej strony, kiedy w charakterze zwycięzców odbywali triumfalny wjazd do Warszawy na przestrzeni lat 1655 — 1703, czterokrotnie królom szwedzcy Karol Gustaw i Karol XII, w 1657 r. książę siedmiogrodzki Rakoczy, oraz w 1794 r. Suworow, kiedy po trzecim rozbiore Warszawa w 1796 r. dostała się pod okupację pruską, jako główne miasto Prus Południowych, poza tym w 1915 i ponownie w 1939 r. — pod okupacją niemiecką. Warszawa ponadto i pod innymi względami przeżywała zarówno dobre, jak i złe czasy. W dobrych się rozbudowywała, w złych natomiast się odbudowywała. I to odbudowywała się na przestrzeni dziejów kilkakrotnie. Nie zaważyło to jednak ujemnie na rozwijaniu i rozrastaniu się Warszawy, gdyż z okazji odbudowy nie poprzestawano na przywróceniu jej do poprzedniego stanu i wyglądu, lecz dążono do czynienia z niej miasta większego, piękniejszego, a przede wszystkim odporniejszego, niż nim była poprzednio. Wyniki pozytywne osiągnano zwłaszcza w okresie późniejszym, kiedy Warszawa z drewnia-

mi klęskami utrudniało to, że — jak informują akta dokonanej w 1564 r. pierwszej lustracji Warszawy — „są dwie mieście od siebie oddzielone iedno murywane, które zowią Stare Miasto, a drugie drewniane, które zowią Nowe Miasto, każde z nich



Canaletto

Widok ogólny Warszawy

swego prawa używa i osobny urząd ma". Równocześnie, w bezpośrednim sąsiedztwie jednej i drugiej Warszawy, istniało ponadto kilkanaście jurydyk (miasteczek), które posiadały — podobnie jak Stara Warszawa i Nowa Warszawa — uprawnienia samodzielnych jednostek administracyjnych. Posiadały tedy, obok własnych władz administracyjnych i własnych organów wymiaru sprawiedliwości, prawo ściągania danin publicznych i użytkowywania wpływów z nich na własne cele. Każda z tych jednostek rozporządzała zbyt szczupłymi środkami, by mogła na własną rękę podjąć skuteczną walkę z klęskami żywiołowymi. Podjęciu zaś wspólnej walki stało na przeszkodzie uprawianie separatystycznej i egoistycznej polityki i gospodarki. W następstwie, zwłaszcza pożary i powódzie, niezwalczane łącznie, dużym wysiłkiem i nakładem, wyrządzały dotkliwe szkody i straty.

Mając je na myśli, Frycz-Modrzewski wskazuje, że: „rzadko się trafi... taki dom, któryby przez trzydzieści lat w całości trwał; mało nie wszystkie wygorywiają a zaś znowu je budują". Łoziński zaś podaje, że: „kosztowności i ozdobności... drewnianych pałaców, które najczęściej niedługo po zbudowaniu padały pastwą płomieni, dziwowali się bardzo cudzoziemcy... nuncjusz Malespina... wyraził się... że nigdy w

z 1564 r., tzn. na przestrzeni lat 1564 — 1620, ubyło w Starej Warszawie domów 288, zaś w Nowej Warszawie domów 98, łącznie tedy ubyło domów 386. Ta cyfra nabiera tym większego znaczenia skoro się

serce pęka z żalu czytać ją po szczegółach". Według wspomnianej rewizji, Stara i Nowa Warszawa wraz z przedmieściami liczyła 342 domów. Na przestrzeni tedy trzech lat „Warszawa zmniejszyła swą ilość



Canaletto

Pałac Błękitny

nieruchomości o połowę i... spada do katastrofalnego stanu z epoki 1620 r."

I znów Warszawa się odbudowała, przy czym: „Jak wielką... była żywotność odradzającej się z popiołów Warszawy, jeżeli po upływie zaledwie 10 lat, jak wykazała... lustracja z 1669 r., Warszawa powiększyła się w czwórnasób, gdyż wraz z przedmieściami liczyła 1204 posesje". Liczniej i szybciej odbudowywało się Nowe niż Stare Miasto: „Snadź starym patrycjatowi warszawskiemu: Baryczkom, Drewnom, Gizom, Fukierom i innym pomniejszym nie tak było łatwo dźwignąć z ruiny swe fortuny i murowane domostwa, niżeli mniej zasobnemu, w drewnianych przeważnie domach osiadłemu mieszczaństwu Nowego Miasta. Najszybciej odbudowują się przedmieścia... Co się tyczy sposobu odbudowywania, to: „Spalenie i zrujnowanie zupełnie miasta za czasów szwedzkich, rozkierowało wszelkie rozporządzenia dawniejsze co do porządku stawianych w Warszawie budowli. Tam, gdzie tylko tlejące pogorzeliśka pozostały za murami, a ubóstwo wszystkich mieszkańców doszło do najwyższego stopnia, nie można było myśleć ani o kosztownych nowych domach, ani o systematycznej linii w wystawiać się mających siedzibach. Stąd też poszło, iż przez szpary patrzyła władza miasta na powstające zewsząd domy, domki drewniane, na stawiane budki i szalasy tu i ówdzie bez symetrii. Szło bowiem głównie o pierwszą potrzebę sporządzenia najprędzszego schronienia zubożałym mieszkańcom. Porządek więc musiał ustąpić potrzebie". Pod omawianym względem na uwagę zasługują, że poprzednio wspomniana, przez sejm w 1659 r. powołana komisja miała „wyprostować" ulice, przy których znajdowały się resztki spalonych budynków. O wynikach działalności tej komisji dowiadujemy się: „Podniesione tedy opieką prawa miasto powoli budować się zaczęło". Odbudowę utrudniał brak materiałów budowlanych, spowodowany przywilejem Jana Kazimierza z 1657 r., uprawniającym magistrat warszawski do zabierania „kamieni i cegieł" z „murowanych budowli, kamienie spalonych i opuszczonych dworców" celem przywrócenia do dawnego stanu „zniszczonych przez Szwedów murów" miejskich. Mieszczanie warszawscy zdobili widocznie obejść wspomniany przywilej, skoro z owych „kamieni i cegieł" odbudowano także „wiele prywatnych własności". Ponadto, jak wskazuje Stebelstki: „Dzieło odbudowy w niemałym stopniu doznawało ponadto zahamowania na skutek skrupowania gospodarczej działalności mieszczaństwa i całkowitego odsunięcia go od wpływu na życie publiczne".

„Srogi ogień", który „zniszczył prawie trzecią część miasta" nawiedził Warszawę



Zygmunt III

(wedł. miedziorytu z dzieła S. Neugebauera z r. 1662)

w czasie elekcji króla Michała, w czerwcu 1669 r. Na obszarze Starego Miasta — według „Dyaryusza" Chrapowickiego — spłonęło wówczas „niemalo domów pod sto". Ze współczesnego temu pożarowi rekopisu dowiadujemy się: „ulica Piekarska wszystka zgorzała na Seymie Electionis... Z rynku idąc do Dunaju ku bramie na Wahu... zgorzało wszystko". Wielkie pożary nawiedziły Warszawę ponadto w latach 1670 i 1690. Podczas ostatniego wspomnianego, jak zapisał w swym diariuszu Włoch Jan Fagginoli: „Mieszkańcy... jako istne cymbały, przyglądali się z założonymi rękami i z najzupełniejszą spokojnością pożarowi swych domów, chcą mówić — swoich bud i lepianek". Poza tym poważniejsze szkody wyrządził pożar w 1702 r. oraz w 1708 r., kiedy to: „18 kamienic, kilka dworców spłonęło". W 1712 r. znów: „Wygorzały domostwa, położone wzdłuż Wisły". Podczas „okropnego" wylewu w 1724 r. a zwłaszcza w 1751 r.: „znosiło domy".

Według w trzy lata później dokonanej przez starszego gminnego Dawidsona statystyki, istniało „w murach Starej Warszawy i za murami", tzn. w Starej Warszawie z przedmieściami: 483 posesyj, w czym 293 kamienic, 28 pałaców, 150 domów drewnianych i dworców, 4 baszty za-

cił". Wiemy o większych pożarach ponadto w 1767, 1777, 1782 i 1787 r.

Odbudowa na większą skalę i pozostająca z nią w związku rozbudowa Warszawy przypada na okres Stanisławowski, kiedy to „miasto... nadzwyczaj szybko w nowe budowle wzrastać zaczęło; pola i grun-



Pole elekcyjne na Woli

(wedł. dawnego miedziorytu)

mieszkałe, 9 śpiichlerzy i 2 browary. Jednym z pałaców był drewniany Lubomirskich, o którym Jarzemski podaje:

... „z pańska zbudowany Dwór stoi, nie murowany; Ale ma swe qualitates I wielkie commoditates".

W lecie 1762 r. w Warszawie „gwałtowny powstał ogień, który się tak rozszerzył, iż wiele domów w perzynę obrócił". W dwa lata później, pożar „cztery kamienice i kilkadziesiąt domów w popiół obró-

ta orne naokoło zakryły się domami...", kiedy to „przybywało z roku na rok... gmachów... Ten wielki ruch budowlany... wyglądał na zakreślony szeroki pracę...". Kiedy to Warszawa zaczęła wchłaniać „wsie i folwarki okoliczne, które dziś są niby przedmieściami przedmieściów. Reszta odsuniętych miejsc wydaje się oczekiwać murów od ludzi, od czasu i od pieniędzy". Według Korzona, w ostatnim ćwierćwieczu istnienia dawnej Rzeczypospolitej, w Warszawie: „Stanoło przeszło 2.000 nowych domów". W 1784 r. było budynków 3.140.

Tę samą cyfrę podaje taryfa z 1785 r. dla Warszawy i przedmieść, bez Pragi, z czego murowanych 980 i drewnianych 2.160. A kiedy dekret Komisji Brukowej z 30 marca 1784 r. nakazał umieszczanie na wszystkich domach „nad bramami i drzwiami... liczby farbą czarną", to w 1792 r. oznaczono numerami porządkowymi 3.142 posesyj. Warszawa liczyła wówczas (tzn. w ostatnim roku obrad Sejmu Czteroletniego) — 120.000 mieszkańców. Ze względów porównawczych zaznaczamy, że na dzień 1 stycznia 1936 r. było w Warszawie 28.318 domów, w czym mieszkalnych 26.080 domów. Liczba ludności wynosiła — 1.225.000 osób.

Znaczne straty w budynkach poniosła Warszawa, z przyczyny walk ulicznych w czasie insurekcji w ramach powstania Kościuszkowskiego, w dniach 17 i 18 kwietnia 1794 r. A że wielu właścicieli zburzonych domów nie stać było na ich odbudowę, Warszawa stała się znów: „okropnym rurowiskiem". W takim stanie Staszic widział Warszawę w 1797 r., a więc w trzy lata po insurekcji. Na odbudowę wpływała ujemnie m. in. drożyzna materiałów budowlanych, co miało za przyczynę, że „do Wisły nie było żadnego przystępu" (Relacja Komisji Brukowej).

Kiedy w początkach 1796 r. Prusacy wkroczyli do Warszawy, zostali posesyj: „3.784 oprócz 39 kościołów i klasztorów". Wiele domów było zniszczonych i jeszcze więcej opuszczonych, gdyż, w przeciągu ostatnich 5 lat, liczba ludności spadła niemal do połowy, a m. do 64.829 osób. Te okoliczności natchnęły radcę miejskiego zarządu pruskiego Warszawy Gronau'a do przeprowadzenia (w rozprawie pt.: „Ueber den Verfall der Hauptstadt Warschau"), przewidującą „dla Warszawy los Tyru lub Kartaginy, po których wspomnienia przechodzą się tylko w księgach uczonych". Nie spełniła się jednak ta przepowiednia, jak nie spełniły się po tej samej linii idące i do tego właśnie celu dążące zamierzenia następców Gronau'a, skierowane przeciwko Warszawie półtora roku temu.

Henryk Eile

ZDZISŁAW LIBERA

Sceptyk czy entuzjasta

Dyskusja szkolna *)

Najważniejszym momentem dyskusji szkolnej stało się zagadnienie nauczyciela i jego postawy wobec aktualnej rzeczywistości. Stefan Żółkiewski w artykule z dn. 19 sierpnia żąda zerwania z biernością. Domaga się „twardo i gwałtownie pozytywnej pracy wychowawczej w szkole", któraby nie ograniczała się tylko do odbudowy materialnego stanu posiadania. Sprawa wymaga bardziej szczegółowego omówienia, zahacza bowiem o różne dziedziny życia społecznego i o czynniki natury psychologicznej. Sceptycyzm polityczny, jaki charakteryzuje część nauczycielstwa, ma swoje głębsze podłoże. Opiera się nie tylko na braku zaufania do współczesnych stosunków, ale wyrasta również z zasadniczego poglądu na świat.

„Rządy i ustroje się zmieniają, mówią niektórzy, ale przedmiot, którego uczyć, rządzi się własnymi prawami i muszę czuć przed wszystkim nad jego postępem. Innym musiałbym być po roku 1918-ym, innym pod względem politycznym po 1926 r., a jeszcze innym dzisiaj. A przecież złym Polakiem nie jestem, skoro wychowałem zastępy uczniów, którzy dobrze pracują dla kraju. Wielu zginęło podczas wojny, a ci co zostali, odwiedzając mnie wspominają moją pracę w nich włożoną. To moja duma i satysfakcja, to mi wystarcza".

Oto stanowisko nauczyciela miłującego swój zawód, ale z pewną obojętnością przechodzącego nad przeobrażeniami życia społecznego i politycznego. Nie tylko tego rodzaju sceptycyzm istnieje. Są prócz tego jeszcze inni, którzy na podstawie wiadomości ze świata nie wierzą, że warunki życia w kraju ustabilizowały się i przekonani są, że nastąpią jeszcze rozmaite zmiany, rzecz obojętna, w jakim pójdą kierunku, ale, że to co jest, nie utrzyma się. Dlatego lepiej stronić od polityki, a o ile możliwości ograniczać się do nauczania w ramach zakreślanych programem szkolnym.

Postawa sceptyka nacechowana nieufnością i podejrzliwością, przerosła krytycyzmu doszukującego się przede wszystkim złych stron rzeczy, stała rezerwa wobec tego, co się dzieje — wszystko to nie jest godne postawy nauczyciela, od którego natura zawodu wymaga cech innych zupełnie: „Potrzeba doskonałości, poczucie odpowiedzialności i obowiązku, wewnętrzna prawdziwość, moralna odwaga, i ponad tym wszystkim miłość dusz ludzkich" — tak charakteryzuje „duszę nauczycielstwa" Dawid w znanej powszechnie rozprawie. Analizując dokładnie przmioty osobowości nauczyciela wyjaśnia Dawid dalej, że „wychowanie, szkoła, nie może być szkołą

zabawy, łatwości, gry, ale musi być szkołą wysiłku, pokonywania trudności, wyrzeczenia się, przymusu. Rozumie się, nie przymusu z zewnątrz, fizycznie narzucanego, ale takiego, który rodzi się będzie, z własnej woli i wewnętrznej potrzeby ucznia, ze wspólnego — u nauczyciela i ucznia — entuzjazmu dla wysiłku przymusu, obowiązku". Przytoczone słowa Dawida, które formułują podstawowe cele wychowawcze szkoły, narzucają jednocześnie pewne wymagania nauczycielowi, który nauczyć musi entuzjazmu „dla wysiłku, przymusu, obowiązku". Łatwo o entuzjazm dla rzeczy atrakcyjnych i bliskich, do których zdobycia nie trzeba wielkiego nakładu sił. Trudniej o entuzjazm dla celów dalekich, dla realizowania celów prawdziwych, wymagających wielu prób i dzielnego charakteru. Entuzjazmem takim zaradzić może ten, kto go sam posiada. Oczywiście jest fakt, że muszą istnieć warunki sprzyjające czynnej postawie życiowej i optymizmowi, który towarzyszy zespołowi w pracy i pomaga w pokonywaniu trudności i przeszkód. Chodzi tu zarówno o warunki materialne jak i moralne, o ogólną atmosferę duchową, w jakiej szkoła i nauczyciel pracują.

Bez względu na przekonania polityczne każdy nauczyciel stoi przed naczelnym zadaniem, które pragnie jak najlepiej i najprędzej spełnić: odbudowę kraju. Ten motyw, który, wbrew pozorom, łączy wszystkich na swój sposób, stanowi jeden z najpotężniejszych bodźców do pracy i działać może jako najsilniejszy czynnik wychowawczy w kierunku uaktywnienia młodzieży i wyrobienia w niej jak najbardziej twórczej postawy wobec życia. Odbudowa kraju realizuje się w przejawach wielkich jak odbudowa portów nad Bałtykiem i uruchamianie fabryk i hut na Śląsku, ale również w rzeczach mniej efektownych, choć tak samo ważnych, jak odnowienie gmachu szkolnego czy oczyszczenie z gruzów jakiegoś placu lub ulicy w Warszawie. Proces odbudowy nie jest krótki, wymaga wielkich ofiar, żąda od społeczeństwa przymusu wyrzeczeń, obowiązku. Rzeczy te stają się lżejsze, kiedy pracy nad odbudową towarzyszy serdeczny zapał, a wysiłek i konieczność ofiar wynagradzają poczucie spełnionego czynu i osiągnięte zamiary. I tu otwierają się wielkie perspektywy przed nauczycielem — entuzjastą, porywającym za sobą młodzież i przewyciążającym jej opór i bierność. Wtedy dalekie cele się zbliżają, kiedy bliskie realizują się dobrze i szybko.

Nie tylko przecież proces odbudowy kraju może stać źródłem szerszego entuzjazmu nauczycielskiej pracy. Jest

jeszcze inny czynnik, który powodować może rozmach energii twórczej i spotęgować wysiłek nad wychowywaniem — to realizacja naczelnych ideałów demokracji, których osiągnięcie wydaje się jedynie możliwe przy zmianach społeczno-gospodarczych, jakie nastąpiły po wojnie. Przeobrażenie w dziedzinie polityki ekonomicznej, dążenie do równomiernego podziału dochodu społecznego, wyświeglenie warsiw dotychczas upośledzonych — to tylko obiektywne, zewnętrzne warunki, które umożliwią dopiero pracę nad człowiekiem w kierunku jego duchowego rozwoju.

Trudności, jakie napotyka nauczyciel, są dwojakiego rodzaju: demoralizacja młodzieży, wywołana nienormalnym życiem wojennym i brak zrozumienia i pozytywnej postawy wobec dokonanych w Polsce reform. Te dwa czynniki przeszkadzają nauczycielowi w pracy. O ile pierwszy z nich jest niejako naturalnym następstwem wojny i wpływ czasu oraz normalizacja życia pokojowego zrużarzą, o tyle druga sprawa jest trudniejszą i bardziej skomplikowanym zagadnieniem. Chodzi o zmianę postawy z bierności na czynną, o przewyciężenie nieufności i wyzwolenie pełni energii. Może to nastąpić przez uświadomienie, że zachodzące zmiany nie są narzucone z zewnątrz i nie zmierzają, jak się nieraz słyszy, do zmechanizowania życia ludzkiego, do ucywilnienia z człowieka martwego narzędzia aparatu państwowego, ale przeciwnie — intencją reform prowadzi do prawdziwego wyzwolenia człowieka spod ucisku wielkiego kapitału i z krepujących go więzów ciemnoty. Ideal takiego człowieka napewno jest pociągający, i zrozumiałaj staję się entuzjazm wychowawcy, skoro taki cel stawia przed nim współczesne pokolenie. Jest rzeczą wadliwą państwową, by entuzjazm ten podniecać a nie studiować. A często tak bywa, że niefortunne zarządzania potrafią zmrozić szerszego entuzjastę, który zniechęca się wskutek zupełnie przypadkowych okoliczności.

Praca nad przygotowaniem młodzieży do zrozumienia istoty współczesnych przeobrażeń nie jest łatwa, wymaga cierpliwości i dobrej woli. Nie wolno stosować siły, bo ta wywołuje przeciwnie rezultaty. Jedynie rzetelna wiedza nauczyciela i promieniująca szczerą wiarą, że istota dokonującego się procesu dziejowego rozwija się w kierunku jedynie słusznym, mimo błędów i pomyłek, może pozyskać młodzież, która od piękna idei odpychają często niewłaściwe formy towarzyszące wprowadzaniu jej w życie.

Zdzisław Libera

*) Por. Nr 30, 32, 35, 38 „Kuźnicy".

JULIUSZ ŻUŁAWSKI

DALEKIE I BLISKIE*)

Jak myśl bawić, w więzieniu, w czas tak bezgwiaździsty?
Szaradą słów wspomnienia z mgieł łowie i mierzę:
lud grozi dyktatorom na Trafalgar Squerze,
ciszę płoszy z bram króla tylko krok gwardzisty.

Uczeni głoszą prosto: wolność lub zagłada,
w Izbie Gmin wstał orator i wznowił miraż...
chwytam zapach mórz siedmiu w City, a gdy marzę —
złotą karocę mera herald zapowiada.

Czy to wiek dziewiętnasty? W zieleni nad rzeką
w lazur łabędzi panie panów przyobleka
i siruną w cień przystani. A deszcze zmyłone

stygna w szarych ulicach, gdzie grymas Dickensa,
jak rysownik po domach i mgłach się waleśa.
...Kraj ten w księgi odpływa, w pergaminach tonie.



Juliusz Żuławski

Czy wspominać, czy marzyć? Śnieg się ziemi przyśnił
i zmienił obóz wzgardy w fragment powieściowy...
Marzenia i wspomnienia wprząść w jedność osnowy
zamierzam — jako sposób myślenia mych myśli.

Pamięcią — szukam śladów w nieobecnych niebie,
wyobraźnią — z przeszłości łowie barwę zdarzeń.
Niech się czas wikła! W ogniu syntez i skojarzeń
jednocześnie ogarnia śmierć: miasto i ciebie.

Nie pamiętam, lecz widzę — tak, bez daty żadnej:
i oczy, całujące mnie w usta na Radnej,
i pociski, z łoskotem bliższe na Pragę.

Warszawo, w miłość moją wtrącona i w pożar!
Jak wskrzesze twe ulice — i moje bezdroża?
Jak zdołam wnieść z popiołu — posąg twej odwagi?

A jeżeli z tej ziemi, którą powój obróśl,
deszcz wiosenny odmyje pogrzebane ślady?
A jeśli znów mnie strwożą na tym bruku bladym
moje kroki wczorajsze — i spłaczą jak powróż?

A jeżeli w kawiarni siadę z twoim cieniem
i twe oczy zakwitną znów jak dwie róże?
A jeśli o północy, gdy się w gwar zanurzę,
zamiast zdrowiem — zabrzęczy kieliszek wspomnieniem?

A choć tylko uśmiechem — na Jasnej lub Hożej —
przyjrzyć się swej młodości, tej pomyłce bożej —
...czy mi twoja opowieść oczu nie zasłoni?

A choć na Mazowieckiej, zielonej jak cmentarz,
przeszłość ujęć w gest jeden, w niedbaly komentarz —
...czy wyrwałem już serce z twej szalonej dłoni?

Neubrandenburg 1941

Nowe rysunki Picassa

Miesięcznik „Arts de France” opublikował niedawno fotografie portretów, które wykonał Picasso jako dwunastoletni chłopiec. Gdy oglądamy reprodukcje najnowszych rysunków tego malarza, uprzytomniamy sobie, że w

stosowania swych środków plastycznych do wszelkich aspektów oglądanego świata. Picasso mógł przejść przez to stadium, jedynie dając ujście swemu talentowi w kilku olbrzymich dziełach — ale żył niestety w wieku, który nie dostarczył mu na to środków.

Dla Picassa wszystko jest formą życia; nie ma dla niego przedmiotów nieżywych (przynajmniej pośród tych, które wychodzą spod jego pędzla), ani innego królestwa, niż szerokie królestwo żyjących, którego jest mistrzem i które wzbogaca każdego dnia nowymi gatunkami zrodzonymi z tajemniczych skrzyżowań. Oddycha rzeczywistością, dotyka jej, w potrzebie nawet ją łamie, aby zrozumieć jej mechanizm. Czy nie na tym wła-

śnie polega różnorodność jego bogatego dzieła? Wystarczy obejrzeć kilka reprodukcji, które za jednym zamachem wyczerpują wszystkie możliwe dążności: od wrażeń za ledwie przetworzonych (rysunek wydaje się żyć dzięki jakości modelu: ciężar włosów, wstrząsająca głębia spojrzenia, dziecięca okragłość policzków), aż do transpozycji geometrycznych — i dalej jeszcze — do czyścych zarysów. Oto dlaczego wolno było używać w stosunku do tego malarza wszelkich przybliżeń, wszystkich porównań. Pewność połączająca, zdumiewająca jasność zamiaru narzuciły już kilkakrotnie porównania z Ingres'em. Ale zaledwie zostało ono rzucone, Picasso ukazuje już jedną ze swych kapitalnych żywych maszyn, gdzie wszystko za-

przecha harmonijemu układowi krzywych, które tak upodobał sobie Ingres. Dorobek jego kusi do wszelkich możliwych porównań, a nawet najbardziej nieoczekiwane znajdują usprawiedliwienie z pewnego punktu widzenia.



tych dwu granicach zamknięty jest bogaty dorobek, którego różnorodność wywierała najsprzeczniejsze wpływy na młode malarstwo, krytykę i publiczność: malarstwo to zbija z tropu od pierwszej chwili; rysunki wykonane przez Picassa w wieku dziecięcym ukazują nam przeciwieństwo tego, czego oczekujemy od rysunków dziecka: w miejsce nieporadnej na wność — rzemiosła i olbrzymia siła doświadczonego malarza; natomiast u dzisiejszego Picassa obserwujemy jeszcze poszukiwanie świata, w którym mógłby odnaleźć się dzieckiem. Tak więc dzieło jego umyka się naszym tradycyjnym pojęciom postępu, które przyzwyczaiły nas, że te same jakości doskonała się od pierwszej do ostatniej chwili. Wyjątkowe bogactwo talentu skierowało Picassa na inną drogę rozwoju.

Postawił on sobie od razu zadanie przy-



nia. Czy, gdy oglądamy na jednym z jego obrazów piękną marzycielską twarz, nie przyjdzie nam ochota wspomnieć i o romantyzmie? Zabawa taka ma swoje ponety, ale przecież Picasso nigdy nie utożsamia się z nikim i najmniejsze jego dzieło wyraża zrozumienie życia i człowieka, typowe tylko dla niego: czułość przechodząca czasem w okrucieństwo — ale czy te dwie postawy są tak od siebie odległe? — I zawsze pełna liłość nad ludzkim losem. Oto rzeczywistość Picassa.

Zarzuca mu się, że w jego oczach wygląda ona czasem potwornie. Piękne mi to oskarżenie w naszej epoce, która zamyka artystę w sobie i gorszy się, gdy podobny do japońskiego ogrodu wypuszcza tylko kolce i ogniste kwiaty! I tu właśnie Picasso jest z kolei przykładem, że geniusz może wyrażać tylko swoją epokę w tym, co ma ona najlepszego i najgorszego; jej naidziksze przeciwieństwa.

J. H.
 („Arts de France“)

*) Z tomiku wierszy pt. „Dalekie i bliskie” — który ukaże się nakładem Sp. Wyd. „Czytelnik“.

MICHAŁ KOCHAŃCZYK

WYPRAWA NA DIEGO SUAREZ

Fragment opowiadania

Najpierw ruszyły z miejsca małe konrtorpedowce, za nimi poszły pancerniki i inne cięższe jednostki wojennej floty, błyskające co chwilę różnie reflektorami. Za nimi wychodzą według określonego numeru w konwoju statki naładowane wojskiem. Po kilkudziesięciu minutach przychodzi kolej i na nas. Maszyny są już dawno w ruchu i do atmosfery przepojonej zapachem żołnierskich mundurów dochodzą teraz mdle wyciewy spalanej ropy. Żołnierze, podnieceni wrażliwym pierwszym podroży morskiej pozostawiali niedojedzoną kolację i wybiegli na pokład całą masą, utrudniając marynarzom ukończenie zejklarów. Pod nogami czuć było lekkie drgania pokładu, to śruby zrobiły pierwsze obroty, nadając całemu statkowi jakiś niewypowiedziany rytm. Po wyjściu za siatkę, chroniącą wejście przed łodziami podwodnymi, statek zwiększył szybkość.

Gdy „Sobieski” rozkołysał się nieco na wznagającej się fali, żołnierze powstali pod pokład, aby porozwieszać hamaki, zanim przyjdą pierwsze oznaki morskiej choroby. Załoga rozeszła się również do swoich kubryków na wieczorne pogadanki. Jedni zasiedli do gry w karty, inni do czytania listów i gazet, a jeszcze inni zaś poszli przygotować swoje osobiste dokumenty i co wartościowsze rzeczy, aby na wypadek torpedy, mieć je w pogotowiu. Tylko marynarze na wyznaczonych posturkach obserwacyjnych i nieliczni żołnierze oparci o relingi rozmyślali nadal o swoim niepewnym losie.

Nie jest to zgodne z ich życzeniami, że statek unosi ich z każdą chwilą coraz dalej od rodziny, od żony. Być może, nie jeden z nich nadsłuchuje szumiącej wody po burcie i żał go ogarnia na samą myśl, że wczorajsze pożegnanie rodzinnych stron będzie ostatnim. Czują się bezsilni wobec okrutnych praw wojny i nie jeden z nich chciałby zwinąć się do domu, aby móc wrócić do rodziny, do żony, do dzieci. W dzień stali za ladą sklepową i sprzedawali fajki i trykotaże lub pracowali w fabryce samochodów, a wieczorami grali w golfa lub szli do baru na swoje „single whisky” i śpiewali chórem stare piosenki ludowe, jak ich przodkowie w szekspirowskich latach.

Teraz, ubrani w żołnierskie uniformy, spędzeni na statek — o którego narodowości do września 39 roku nie wiele słyszeli — wypełniają go szczerze, jak trzoda. Nie mają najmniejszego wpływu na kierunek podróży, nie wiedzą co ich czeka ani dokąd jadą. Jedno im powiedziano wyraźnie, że na dany z góry rozkaz mają zbliżyć się do celu. Im obfitsze żniwo śmierci spowodują, tym lepiej dla nas wszystkich. Tym większą otrzymają zasługę.

Ciemności nocne nie pozwalały objąć wzrokiem całego konwoju. Tylko złowrogły ryk syren ostrzegawczych przeszywał co chwilę powietrze i ginął daleko na bezkresnych wodach Atlantyki. Najpierw odzywała się syrena ze środkowego statku, na którym jechał brytyjski komodor, dowodzący konwojem i jego sztab, a za nią powtarzały kolejno wszystkie statki na znak, że zrozumiały sygnał. Było to komendą do zmiany kursu całego konwoju na lewą lub prawą burtę w zależności od ilości sygnałów. Działo się to systematycznie w ograniczonych odstępach czasu, zależnie od stopnia zagrożenia strący przez jaką konwój przechodził. W pierwszych dniach podróży, sygnalizacja ta szarpała żołnierzom mocno nerwy. Później wszyscy się do tego przyzwyczaili i żaden nie zwracał na to większej uwagi. Czasem w tropiku kiedy morze było spokojne a gorączka przemogła obawę przed karą za otwarcie bulajki, kiedy wyjątkowo gwałtowny ryk syreny targnął powietrzem i wdarł się do kabiny z całą mocą, wtenczas wyskakivaliśmy z łóżek i wystawialiśmy głowy za burtę, aby się upewnić czy nie dzieją się tam jakieś rzeczy niezwykle.

Morze zaczęło rzucać statkiem coraz sil-

niej na wszystkie strony, kiedy Bolek — nasz najmłodszy współmieszkaniec, wyciągnął na górnym łóżku, kończył opowiadać wesołe fragmenty z miłosnych przygód, przeżytych w czasie postoju z niewierną żoną brytyjskiego oficera (również marynarki handlowej). Statek zaczął skrzywić się w spojeniach, co normalnie zwiastowało większą burzę. Z sąsiedniej kabiny motorzystów dolatywały jeszcze od czasu do czasu urwane zdania jakiejś ostrzejszej sprzeczki na temat zwyczajstwa socjalizmu, a z maszynowni płynął miarowy loskot świeżo odremontowanych motorów, wypielając całe śródokręcie głuchym taktem: du, du, du, du, du, du, du du du! — które z każdą chwilą zdawało się eliminować wszystkie głosy ludzkie. Ostatnie spojrzenie na przygotowane na wszelkie ewentualności pasy ratunkowe i ludzi, zmęczeni całodzienną pracą i wrażliwymi, zasnęli twardo. Tylko maszyny pracowały niezamierzanie bez przerwy. Konwój szedł dalej...

W czasie postoju w porcie, załoga rozbiegła się po mieście, wykorzystując każdą sposobność stosownie do gustu i szczęścia. Dopiero noc w morzu dawała sposobność do lepszego odpoczynku i do wymiany zdobytych ciekawostek na lądzie. Za to już na trzeci dzień pustka zaczynała wycierać z każdego kąta. Nastaje taka sama nuda, jaka nas dręczyła w poprzedniej podróży. Życie staje się coraz bardziej monotonne. Coraz dłuższy pobyt na morzu, gdzie każda sekunda zagraża porażeniem nas na łasce Neptuna — działa stopniowo na przeculone nerwy.

Dniało już na niebie, kiedy zmieniły się ostatnie wachty. Oficer służbowy wyszedł z kabiny nawigacyjnej do sterówki, sprawdził czy zmieniły się sternicy, popatrzył na słabo oświetloną tarzęc busoli, następnie bąknął coś pod nosem do zaspanego jeszcze sternika i zniknął z powrotem w swojej kablinie. Złuzowany sternik zdjął z siebie ciężkie kożuch i ostrzegł swego koleżę, że statek dziś wyjątkowo ciężko trzyma się na kursie swego poprzednika, a w dodatku nasz stały towarzyszy m/s „Kenia” natłuje nas z prawej burty. Po tych słowach ziewnął głośno, zatarł ręce z radości i zbiegł szybko po żelaznych schodach, myśląc, że nareszcie będzie mógł zapalić papierosa.

Burza nie ustawała. Masy wody co chwilę uderzały z hukiem o prawą burtę i zalewały pokład obficie. Czarna powierzchnia wody stawała się coraz bardziej śliska i groźna, a gdy pierwsze promienie zorzy porannej zabiły wschodnią część horyzontu, można było już policzyć większe jednostki z naszego konwoju.

Pierwszą rzeczą dla załogi, gdy się przebudziła po pierwszej nocy w morzu, było wyjść na górny pokład i upewnić się jak duży jest konwój i czy silną mamy eskortę. Po składzie oraz sile konwoju ocenialiśmy jego zadania i miejsce następnego postoju. Później tylko ci, których służba tego wymagała, obserwowali co się działo dookoła. Zimno i słona woda nie zachęcały nikogo do spacerowania po zalewanym pokładzie. Wiemy przecież, że wyjście konwoju na Południowy Atlantyk da nam i tak dużo czasu na przysłuchiwanie się jego sile, o ile łódź podwodna nie uszczupli jej w międzyczasie.

Tym razem ilość statków przekroczyła rekordy naszych poprzednich konwojów. Idą z nami dziesiątki troopship'ów i dużych frachtowców. Eskorta składa się z kilku najcięższych jednostek floty wojennej. Wszystko to zajmuje taką przestrzeń, iż trudno jest policzyć z ilu okrętów składa się całość naszej obrony. Liczymy do 40, ale liczba ta nie obejmuje jeszcze kompletu, o czym świadczą stabilne widoczne kontury masztów podrzucanych z falą na horyzoncie.

W powietrzu krąży ocieślała kilka czteromotorowych Lancaster'ów i dalekodystansowych Catalina'ów, które odprowadzają nas z W. Brytanii. Później kiedy morze uspokoi się, zaczną startować samoloty z dwóch lotniskowców, idących również w naszym zespole. Widok tak silnej eskorty uspokaja wszystkie nerwy i życie na statku wydaje się nieco weselejsze. Na wypadek ataku mamy się czym bronić, a w razie czegoś gorszego łatwiej będzie o ratunek. Wydaje nam się, iż tym razem

nawet szaleńcy z niemieckich łodzi podwodnych ani lotnicy z Luftwaffe nie ośmielią się nas zaatakować.

Jedenasty dzień podróży rozpoczął się normalnie. Płyniemy w dość zwartym szyku osłaniany pierścieniem floty wojennej. Morze jest spokojne i wygląda jak błękitnawa tafla szkła. „Sobieski” idzie spokojnie, jak po kanale. Przed dziobem statków, idących obok z łatwością widać jak latające ryby wystraszone obrotem śrub, wyskakują z wody, lecą kilkadziesiąt metrów i opadają z pluskiem. Jest to znak nieomylny, że znajdujemy się co najmniej na wysokości Dakaru. Tylko patrzeć jak dla potwierdzenia tych przypuszczeń ukaza się fontanny wody wyrzucanej przez olbrzymie celska kaszalotów. W pomieszczeniach zrobiło się strasznie duszno więc wojsko i załoga zamieniła ubrania na spodniki i wygrzewa się na pokładzie lub kąpie się w basenie. Słychać często jak ten i ów uskarża się na reumatyzm i wspomina marną pogodę angielską, podkreślając, że Brytyjczycy mają wszystko prócz słońca. Istotnie, takiej pogody nie widziałem w ogóle co najmniej połowa jadących z nami żołnierzy brytyjskich. Obecnie wielu z nich czerwonych jak raki, kryje się w cieniu z porażoną skórą.

Teraz cały konwój można objąć gołym okiem, jak pionki na szachownicy. Jest to prawdziwa potęga morską. Płyną tu chyba wszystkie statki, jakie tylko można sobie wyobrazić. Od potężnych battle ship'ów aż do jakichś kombinowanych specjalnie na inwazję, wyglądających z daleka jak mosty. Z pasażerskich idą z nami wspaniałe kolony o najnowocześniejszym napędzie. Po prostu wykwinę budownictwa okrętowego. Luksusowe „Queen of Bermuda”, „Empress of Australia” czy znany naszej załodze z poprzednich podróży m/s „Georgic”, wozily przed wojną w swych luksusowych kabinach bogatych pasażerów. Obecnie spakowane bojową farbą przewożą dywizje żołnierzy. Kiedy patrzymy z „Sobieskiego” na ten ogromny majątek stworzony ręką robotnika i inżyniera, a który w jednej minucie może pojsć na dno morza wraz z całym ładunkiem ludzkim i martwym — rozumiemy, że wojna ta jest jakimś obłąkanym zmaganiem się dobra ze złem, gdzie ciemne moce próbują zgasić światło.

ZDOBYCIE MADAGASKARU

22 kwietnia konwój stanął na redzie w Durban. Po paru tygodniach monotonnego życia obserwujemy z dala białe gmachy miasta, na którego widok ogarnia nas zwykła w takich wypadkach ciekawość i podniecenie. Za parę godzin znajdziemy się w całkiem nowoczesnym mieście. Bogate wystawy sklepowe, pełne złota i owoców południowych, oświetlone ulice, neonowe reklamy i uśmiechnięta ludność — przypomną nam na chwilę przedwojenne czasy. Durban gdzie luksusowe Chevrolety i Packard'y mkną bezszelestnie po szerokich alejach asfaltowych, wówczas, gdy dalej za miastem biały pas i policjant rozdzielają jak gdyby dwa światy. Dwie rasy ludzkie. Jedna biała w centrum prowadząca jedwabne życie i druga czarna, słończona w murzyńskich dzielnicach w bezplanowo wybudowanych barakach i dostarczająca pierwszej taniej siły roboty. Bo tu w tym bogatym kraju, dla podtrzymania „prestżu” białemu człowiekowi nie wolno pracować fizycznie. Piękne limuzyny w których chłodzą się białe kobiety, mijają obojętnie zlatających rykszarzy zuluskich, poprzybieranych w pióra i bawole rogi, wiozących pilnych żołnierzy.

Po uzupełnieniu konwoju w Durban, wychodzimy w morze. Jest dla nas jasne, że idziemy na inwazję i temat ten domiňuje we wszystkich naszych rozmowach. Denerwuje nas jedynie to, iż nie możemy się dowiedzieć, gdzie ta inwazja ma nastąpić. Przechodzimy spokojne wody Mozambiku. Płyniemy bardzo wolno przez kilka dni i to nas coraz więcej upewnia, że będziemy lądować na Madagaskarze i że lądowanie jest wyznaczone na określony dzień. Flota wojenna nadal wykorzystuje czas na ćwiczenia przeciwnie, toteż huk dział rozlega się po morzu bez przerwy.

5 maja w nocy, konwój przystanął na pełnym morzu. Wygląda teraz bardzo nie-

zwykle. Wojsko już od wczoraj jest stale w ostrym pogotowiu. Pontony inwazyjne są również przygotowane do opuszczenia na wodę każdej chwili. Od czasu do czasu śruby robią po kilka obrotów i znów przystajemy. Dopiero około godziny 3 rano, zaczyna się brzask. Czujemy, że może już za chwilę dzieć się tu będą rzeczy, które zadecydują o naszym życiu. Przed nami rozpoznajemy zaledwie parę lekkich jednostek wojennych. Obok stoją nieruchomo olbrzymie statki z wojskiem gotowym do skoku, a dopiero gdzieś daleko za nami ustawiły się dwa krążowniki brytyjskie. Lotniskowców ani pancerników nie widzimy wcale, są z pewnością daleko w tyle gotowe do osłaniania nas ogniem, gdy tylko zajdzie potrzeba.

Na północnym cyplu Madagaskaru, od strony Oceanu Indyjskiego leży wśród gór spore miasteczko Diego Suarez, nazwane imieniem portugalskiego kapitana, który odkrył tę wyspę w 1500 roku. Odcięte od reszty kraju górami i dzikimi lasami — ma dwie możliwości komunikacyjne ze stolicą Tananarive: lotniczą i morską. Miasto to ze swą spokojną ludnością, okolone jest jak cała wyspa morzem i nie interesowałoby dziś nikogo, gdyby nie jedn atut ważny dla wojny jaki posiada: piękny naturalny port, osłonięty bezpiecznie pasem górskim — daje możliwość wysadzenia dużej ilości wojska na wyspę.

Od statków odbity pontony z pierwszymi rzutami komandosów na brzegi. Robią to sprawnie i szybko, chcąc zaskoczyć francuską obronę. Morze jest dość wzburzone i obawiamy się, że lada chwilę któryś z nich wyrzuci się zaniem dosięgnie brzegów. Szybkoobieżne motorówki nie boją się jednak tej fali i wkrótce tracimy je z oczu. Czekamy czy nie dojdą nas odgłosy walk z lądu.

Tymczasem zrobiło się jasno. Widać wyraźnie, jak parę mil przed nami wyrastają wysokie góry. Na najwyższym szczycie rysuje się coś w rodzaju betonowego schronu. To punkt obserwacyjny a obok niego zamaskowany fort. Ma świetny ostrzał na morze i będzie się trzymał najdłużej. Z porannych oparów wyrastało stopniowo coraz więcej mniejszych wysepek i raf koralowych, wśród których znikają coraz to dalsze oddziały wojska na łodziach. Miejsce lądowania jest jednak dalej niż nam się to wydaje i jak się później rozpoznamy w tej okolicy — będzie ono zupełnie zasłonięte cypem górskim. Dopiero około południa widzimy, jak czarne smugi dymów wydobywają się z gór. Mijają dalsze godziny. Ostatnie oddziały wojska opuściły „Sobieskiego”. Nad kłębam dymów krąży samoloty; innych śladów wojny nie widzimy. Lecz są to tylko pozory. Są już ranni, bo duży biały statek Czerwonego Krzyża zbliża się do nas całą mocą. Pod wieczór powróciło do nas kilkunastu oficerów brytyjskich od których dowiedzieliśmy się o przebiegu lądowania.

Francuzi byli zupełnie zaskoczeni. Czuli się tak pewni swej sily, że załogi fortów nie pełniły wcale służby w nocy. Jedynie lotnisko zbombardowali Brytyjczycy wraz z samolotami zanim zdążyły się wznieść w powietrze. Bronią się jednak dzielnie oddziały senegalskie i fort na najwyższym szczycie. Drugiego dnia pod wieczór przystąpili do akcji cięższe jednostki floty brytyjskiej. Jeden z destroyerów podsunął się bliżej brzegów, ustawił się nie daleko od nas i otworzył ogień ciągły na wzgórze, gdzie bronila się załoga francuskich marynarzy. Po każdej serii wystrzałów widzieliśmy jak pociski błyskają ogniem przy uderzeniu o skalistą górę.

Dopiero na trzeci dzień miasto zostało zdobyte i jeszcze tego dnia wieczorem wchodzimy do portu, po oczyszczeniu drogi z min przez brytyjskie poławiacze min.

Teraz widzimy, że aby się dostać do portu trzeba opłynąć półwysp długości 25 mil. Była tu baza francuskiej floty wojennej. Stało tu parę łodzi podwodnych, lecz zdążyły się wymknąć na morze przed inwazją. Słyszymy, że jedna z nich została zatopiona.

Małe drewniane moło pozwala podejść tylko jednemu dużemu statkowi. Ciemno

już było zupełnie, gdy podeszliśmy do mola. Ze strony miasta wiał lekki gorący wiatr i czuć w nim było mdły zapach spalenizny. Kiedy statek przymocowano, marynarze ustawili na dziobie przenośne reflektory i oświetlili brzeg przed dziobem. Dopiero teraz widzieliśmy straszne skutki walki. Na lądzie leżą ranni żołnierze, powaleni rzedami, oczekują transportu na statek szpitalny. Leżą pomieszani, jak na pobojowisku: obok Brytyjczyków czarni, jak heban Senegalczycy, obok Francuzów Malajczycy. Przed chwilą jeszcze strzelali do siebie z nienawiścią. Teraz nie mają już do siebie żadnych pretensji. Leżą nieruchomo i mającą w bólach na obcej ziemi, gdzie obce wiszą nad nimi gwiazdy. Tylko chwilami, kiedy żywotność młodego ciała zwycięży ból odzyskują świadomość i wówczas ślą ośmiętnie westchnienia. Jedni osadom górniczym w południowej Walii, drudzy winnym polom Burgundji, inni szalasom pustynnym nad brzegami Senegalu. Od czasu do czasu któryś przekręci głowę lub łzę ranny podnosi ramiona i dotyka rannej okolicy ciała.

Słowo Madagaskar miało egzotyczny dźwięk dla nas przed wojną. Teraz oglądamy tę rozpaloną ziemię, żyjemy na niej przez kilkanaście dni. I widzimy jak po ustaniu walk, Diego Suarez zaczyna żyć po staremu. Po mieście snuje się mieszana ras ludzkich. Malagasi, Syryjczycy, Hindusi, Chińczycy, Francuzi i Japończycy. Chodzą po ulicach, śpieszą na targ, nie zwracając zbytnio uwagi na obcych przybyszów, tak jakby tu już byli od wielu lat. Jak gdyby tu być musieli.

Jeszcze przed paru dniami miasto było w ręku wroga, dziś chodzimy swobodnie po wąskich uliczkach i nikt nam nie powie przykrego słowa. Z małych okien widać wesołe twarze płochliwych dzieci. Ta różnokolorowa ludność ma swoją wielką godność i kulturę. Nie widać tu natrętnego żebractwa, które jest uderzającym zjawiskiem we wszystkich krajach Afryki i Azji. W Afryce przyzwyczajaliśmy się do usług „pilota”. Tutaj zawód ten nie jest znany i każdy marynarz musi polegać na własnej przedsiębiorczości, jeżeli chce poznać temperament tutejszych piękności.

Podczas gdy my podziwialiśmy na północnym krańcu Madagaskaru spokojne życie ludności, wojna przesuwała się coraz dalej ku stolicy. Konwój rozbił się na części i wyszedł w morze. Tylko nasz i parę innych statków stoi nadal na kotwicy na środku zatoki. Nie jest to dla nas dobra zapowiedź. Tropikalny klimat i upał, pomimo, że powietrze jest tu suche — daje nam się szybko odczuć. Pustka i beznaziejność podminowują moralność załogi. Zezwolenie władz wojskowych na zwalnianie załogi na ląd poprawia sytuację, ale nie na długo.

Oglądamy miasto i świeże ślady walk. Arsenale francuskiej marynarki wojennej rozbite zupełnie. Na małym placu miejskim, tam gdzie przed kilku dniami rosły ogromne piękne kaktusy zostały tylko rozkopane rowy. Brązowy posąg Clemenceau smutno patrzy na rozciągającą się w dół zatokę i na potopione statki. W mieście leży parę rozbitych samolotów brytyjskich a w podwórzach stoją dopiero co postawione krzyże na mogiłach lotników.

W doku stoi duży niemiecki frachtowiec „Wartenfels”, którego pomimo usiłowań załoga nie zdążyła wysadzić w powietrze. Dalej za zakrętem fala rozbija się z hukiem o zatopione dwa statki włoskie i jeden francuski, zatopiony wraz z załogą.

TREŚĆ NUMERU 38

Jastrun Mieczysław — Przypomnienie na czasie. Ossowski Stanisław — Na tle wydarzeń kieleckich. Pollak Seweryn — wiersze. Shaw Bernard — H. G. Wells, jakim go znałem. Miłosz Szesław — O Hemingway'u. Kochalski W., Załozynski Bogusław — Dyskusja szkolna. Majewski St. A. — Anglik o narodach kontynentu. Brzechwa Jan — Ochrona prawna tytułu. Tynjanow Jurij — Dynamizm formy literackiej. Margal Marjusz — Jak gospodaruje Czechosłowacja. Guzówna Joanna — Kronika radziecka. Szuster Edward — Z rynku księgarskiego. Przegląd Prasy. Noty.

Ludność od sześciu miesięcy nie widziała chleba. Żywi się ryżem, jarzynami i baraniną. Ładowanie wojsk brytyjskich w niczym na razie nie poprawia warunków ludności, wyzbytej wszelkich zapasów żywności i odzieży, na skutek blokady Sprzymierzonych. Tylko na drzwiach urzędów objętych przez wojsko, pojawiły się charakterystyczne napisy z wyznaczeniem osobnych godzin dla: „Europeans” i „Non-Europeans”, jako typowy przykład brytyjskiej polityki kolonialnej. Francuzi nie stosują takiego podziału, toteż ludność miejscowa przygląda się tym nowościom z ironią.

MARIAN PODKOWIŃSKI

Koniec Norymbergi

W ósmą rocznicę agresji niemieckiej na Polskę, został zakończony przewód sądowy przed Międzynarodowym Trybunałem w Norymberdze. W ósmą rocznicę tego dnia, kiedy Hitler wygłosił swą słynną mowę w Reichstagu, w której oświadczył, że wydał rozkaz swym generałom atakować granice Polski, a Greiser i Forster urocząście „przyłączyli” Gdańsk do Reichu, Lord Justice Geoffrey Lawrence, udzielił ostatniego słowa Goeringowi et Co. Dziś Hitler nie żyje, Greisera powieszono, a Forster oczekuje swego wyroku przed polskim sądem.

Ostatni dzień Norymbergi przypominał „weteranom” tego procesu - monstre najlepsze dni listopadowe ubiegłego roku, kiedy po prostu walczone o miejsce na sali. Wszystkie miejsca były zajęte, prasa i fotoreporterzy zajęli swoje pozycje. Tego dnia wzmocniono posterunki policji oraz kontrolę wchodzących, w kuluarach było rojno i tłoczno.

Również oskarżeni, którzy ostatnio wpadli w pewien, zrozumiały zresztą, stan odrętwienia, ożyli się bardzo. O dziwo! nawet Rudolf Hess o masce fakira, nabrał jakiegoś ludzkiego wyglądu, on, który przez dziesięć prawie miesięcy milczał jak zaklęty!

Kulminacyjnym momentem była chwila kiedy przewodniczący Trybunału, Lord Justice Lawrence, swoim opanowanym jak zwykle głosem (pomyślcie tylko, przez dziesięć miesięcy, po sześć godzin dziennie, i słysząc to wszystko, co w Norymberdze odkryto i mówiono, zachować taką równowagę i spokój!) oświadczył, że udziela oskarżonym ostatniego słowa. Upowiedł, że musi ono być krótkie. W tym momencie człowiek z obsługi Trybunału podszedł z mikrofonem do Goeringa.

Goering

wstał i podniesionym głosem rozpoczął swą obronę wycieczką w prawo i legalizm. Patos walczył tu o lepsze z hitlerowską demagogią. „Naród niemiecki nie jest winien, nie miał on wiele do gadania za rządów Hitlera, co najwyżej możecie sądzić i karać kierowników ruchu. Ja wojny nie chciałem, ale odpowiadam za to, co zrobiłem”. To był zasadniczy timbre jego przemówienia, zgodny z całym jego postępowaniem podczas procesu. Mówiąc to, Goering ciągle myślał kategoriami swej popularności w masach niemieckich, co zresztą odpowiada prawdzie. Przekonałem się o tym w licznych rozmowach z Niemcami. Goering biorąc na siebie patetycznie odpowiedzialność wypierał się równocześnie jej za jakiegokolwiek mordy lub zbrodnie własnego reżimu. I zakończył wezwaniem do Najwyższego na świadka (jak czynił to zresztą zawsze Hitler), że w każdym wypadku powodowała nim — jako motyw wszelkich poczynań „gorąca miłość do narodu, jego szczęście, wolność i egzystencja”.

Po dłuższym postoju miasto nie ma nam nic nowego do pokazania i gorący klimat zaczyna męczyć co raz bardziej. Za rufą „Sobieskiego” stoi potężny pancernik bryt. H. M. Ramillies, którego — jak się okaże czeka tutaj gorzka niespodzianka. Na razie słyszymy codziennie, jak ze wschodem słońca, podczas podniesienia bandery na pancerniku gra orkiestra „God save the King” i... „Międzynarodówkę”, której melodia odbija się o nadbrzeżne skały i ginie gdzieś daleko w bushu.

Pewnego poranka przyszła do nas upragniona wiadomość o wyjeździe. Nikt z nas nie pytał dokąd. Grunt, by stąd wyjechać.

Hess

przemówieniem swym jeszcze raz usiłował podkreślić, że nie jest przy zdrowych zmysłach. Zduszonym głosem prosił o zezwolenie mówienia na siedząco, gdyż jest chory. Gdy je uzyskał, usiadł, głowę odrzucił w tył i zaczął bredzić. Początkowo wszyscy z zaciekawieniem słuchali jego szaleńczej tyrady, ale wkrótce przekonali się, że i tym razem nie wiele nowego dowiedzą się z jego ust. Mówił o jakichś tajemniczych chemikaliach, które wpływają na wolę i czyny człowieka, powodując nawet obłąd. Tym tylko wytłumaczyć można szal Hitlera i komendantów, obozów koncentracyjnych, którzy byli pod jego urokiem. Bredząc niczym w malignie, zaczął irtować nawet swych sąsiadów z ławy oskarżonych. Goering, purpurowy, szepnął wprost do mikrofonu: „Quatsch”. Ribbentrop dał znaki Hessowi, wreszcie zawołał do niego półgłosem: „Machen Sie Schluss” (Niech pan już skończy!). Ale Hess uważał, że to co powiedział, to dopiero wstęp do jego zasadniczego speech'u. Dopiero olówek przewodniczącego położył kres nieporozumieniu, które miało być ostatnim słowem „milczka nr. 1” procesu w Norymberdze. Wtedy całkiem nieoczekiwanie Hess podskoczył ze swego miejsca i podniósł rękę do przysięgi. Z jego obłądnej filipiki, zrozumieć można było tylko tyle, że w ostatnim momencie starał się usprawiedliwić politykę Hitlera. I to, mimo wszystko, warto zapamiętać.

Ribbentrop

sprawia ulgę publiczności swym przemówieniem, przemówieniem człowieka bądź co bądź normalnego. Wygląda złamany. Ale ostatnie jego słowo wykazuje, że ma jeszcze sporo tupetu i germańskiej buty. Nawraca jak maniak do Wersalu i do „Lebensraum”. Zastanania się Hitlerem i starą piosenką, że nie chciał wojny. „Nieszczęściem moim było, że wybrano mnie na eksponenta niemieckiej rewolucji”, mówi człowiek, który nie tak dawno jeszcze traktował inne państwa, jak drobną monetę.

Keitel

początkowo trzymał się niezbyt po żołniersku, ale z biegiem słów, postać jego nabierała coraz wyraźniej cech prusactwa. Szczególnie ostro i rozkazująco wymawiał słowo: „Cytuję”, które w jego ustach brzmiało prawie jak „milczcie!”. Pod koniec jednak swego przemówienia, Keitel wyraźnie mięknie, mówiąc, że wierzył w Hitlera, ale się pomylił. I za to musi odpowiadać. Jako żołnierz musiał słuchać. Ale dziś już raczej wybrałby śmierć. Nie wydał Wehrmachtu w ręce partii, jak mu się to zarzuca i nigdy nie powiedział owych strasznych, jak mówi, słów: „że życie człowieka w okupowanych terenach jest mniej niż niczym”. Pochodzą one z rozkazu Hitlera o partyzantach. Jego zdaniem, najtragiczniejszym momentem było to, że on, Keitel, przeoczył granice żołnierskiego posłuszeństwa.

Pod wieczór idziemy w morze. W porcie na kotwicy zostają — Ramillies i duży tankowiec. Widzimy, jak ich załogi wychodziły na pokład i ślą nam zazdrosne spojrzenia. Wiemy dobrze co myślą w tej chwili.

Trzy dni podróży i statek zatrzymał się u wejścia do Mombasy we Wschodniej Afryce. Kiedy załoga powróciła z łądu, po statku rozeszła się wiadomość, że Ramillies został zatopiony przez japońską łódź „kieszonkową”. Gdy po kilku dniach wracaliśmy z Mombasy do Diego Suarez, już na kilkadziesiąt mil zauważyliśmy na wodzie grube warstwy oliwy...

M. Kochończyk

Kaltenbrunner

mówi jak rzeźmieszek, który winę zwała na nie żyjących już kompanów. To nie on był winien, ponieważ nie posiadał de facto żadnej władzy. Wszystkiemu winni byli Himmler i Mueller. On jest ofiarą ich okrucieństw. Żałuje niezmiernie Żydów. Antysemityzm Hitlera należy — jego zdaniem — traktować równocześnie jako „konieczność i barbarzyństwo”.

Po przerwie zabrał głos

Rosenberg

ten przewrotny „filozof narodowego socjalizmu”, bronił się według recepty, która brzmi: „żaden anioł nie ma tak czystego sumienia jak ja”. Hitler go rozczarował, powiada. Stoi teraz na zgłiszczach swej „filozoficznej budowli”, którą określa jako najszlachetniejszą ideę człowieczeństwa... Czuje się niezrozumiałym przez ten zły świat. Gdy mówi, odnosi się wrażenie, że Rosenberg za chwilę złoży deklarację do związku „ofiar faszyzmu”... „Domagałem się ludzkiego traktowania podbitych ludów Wschodu” mówi przed Trybunałem człowiek, którego słowa i książki były ewangelią niemieckiego ludobójstwa!

Frank

były gubernator z trudem opanowuje nerwy. Wie dobrze co go czeka. Jest błąd i ręce mu drżą. Co chwila łapie powietrze, jak wyrzucona na brzeg ryba. Adolf Hitler, powiada, główny oskarżony, jest winien światu i narodowi niemieckiemu swe ostatnie słowo. Popelniał samobójstwo — mówi dalej Frank — ale dlaczego? Czy z rozpaczy, czy też z przekory wobec Boga i ludzi w sensie: „Jeśli ja mam zginąć, niech zginą także wszyscy inni” — któż to wie? Wierność i ofiarność narodu niemieckiego zostały źle pokierowane, dodał Frank. Bóg wydał wyrok na Hitlera, „a ja zwracam się do narodu niemieckiego, aby zawrócił z tej drogi, którą kiedyś wybrał... Biorę pełną odpowiedzialność w tej wielkiej winie narodu niemieckiego” oświadcza perfidnie. Zbrodnie jego są tak doskonale udokumentowane, że wszystkie jego lamentacje publiczność przyjmuje raczej jako zgrywanie się. Los jego jest, może najwyraźniej, obok Kaltenbrunnera, przypięczony.

Frick

wygłosił najkrótsze przemówienie. Składało się ono z dwóch zaledwie zdań. Powołał się na swój obowiązek jako urzędnika, oświadcza, że gdyby wtedy zrejęterował, uważany byłby przez Niemców za zdrajcę i jako taki postawiony przed Trybunał. Niestety, słowami tymi Frick również sam na siebie wydał wyrok.

Streicher

człowiek, który był wydawcą „Stürmmera” powiedział, że: „masowa mordy na Żydach są dla niego tak samo wstrętne, jak dla każdego przyzwoitego Niemca”. Całą winę zwał lekko na Hitlera. Usiłował jednak umotywić postępowanie swego wodza,

mówiąc, że „Hitler chciał Żydów ukarać“. On natomiast Streicher, od pierwszej chwili dziwi się, dlaczego znalazł się na ławie oskarżonych. Na zakończenie zrobił minę jakby chciał się rozplakać...

Funk

wstając do mikrofonu, sprawiał wrażenie „dzwonnika z Notre Dame“, w ujęciu Lon Chaney'a. I on zasłaniał się lojalnością i wiernością urzędnika. Głos wyraźnie załamał mu się, gdy mówił o złocie, które inkasował jako prezes banku Rzeszy. Złoto brał, to prawda, ale skąd mógł wiedzieć, że pochodzi ono z zębów zamordowanych Żydów? Wstydził się za to wszystko, co się stało. Gdyby wiedział o tym wszystkim, nie siedziałby dziś na tej ławie. Sprzeciwiłby się temu wszystkiemu i zginął z rąk Hitlera. Cóż, kiedy nie wiedział o niczym?

Schacht

poprzednik Funka, przemawiał tak, jak gdyby miał jeszcze nadzieję, że przyda się aliantom. Ten człowiek tak zawsze cichy i łagodny, po raz pierwszy stał się agresywny. Podnosił głos nieledwie. Widocznie w ostatniej jeszcze minucie zabyła w jego głowie myśl, że przecież świat może wykorzystywać go jako rzeczoznawcę finansowego. Jego, który potrafił cały świat nabrać, aby później finansować zbrodnicze plany Hitlera. To przecież nie byle co! Czyż nie mówił mu kiedyś pewien dyplomata amerykański w Berlinie, że alianty wierzą w jego pomoc już po wojnie? Tak twierdził w każdym razie Schacht. Wszyscy wiedzą w Niemczech i zagranicą, że był fanatycznym przeciwnikiem Hitlera i walczył z nim wszystkimi sposobami. Ale, mimo to, przedstawiono go w opinii publicznej jako mordercę i oszusta. „Prasie światowej mam do zawdzięczenia, że pod wieczór mojego życia jestem bez środków i ojczyzny“ — dodał patetycznie.

Doenitz

„Fuehrer nr 2“ i ostatni prezydent Trzeciej Rzeszy, okazał się nawet w ostatnim słowie wiernym wyznawcą swego poprzednika. Ten morderca rozbitków i marynarzy, w dalszym ciągu wierzy w słusność wojny podwodnej. Mówi szybko, krótko, ale jasno. Dumny jest ze swych sukcesów. Hitler działał zgodnie z zasadami wodzostwa, a on zgadzał się z tym, gdyż w wojsku te zasady dawały wspaniałe rezultaty. Doenitz sądził, że również w rządach cywilnych powinna ona być idealna. Ale nie zasada ta jest winna. Ludzie nadużywali jej, bo jej nie rozumieli. Wynalazca nowoczesnej wojny podwodnej okazał się w swym ostatnim słowie tym samym ślepym narzędziem systemu, jak wtedy kiedy zgodził się objąć miejsce po Hitlerze.

Raeder

powiedział z patosem, że „przed sądem świata stoi niemiecka marynarka bez skazy i z niesplamioną flagą“, co oczywiście wywołać mogło tylko ironiczne uśmiechy. Starał się mówić krótko i po wojskowemu. Ale między słowami wyczuwało się wielkie zdenerwowanie. Jego zdaniem odpowiada on jedynie za to, że nie był politykiem lecz żołnierzem. „Tradycja wojskowa“ nie pozwalała mu na politykę. To rzekomo miało go zgubić.

Schirach

mówił o porozumieniu młodzieży niemieckiej z młodzieżą innych narodów. Prosił Trybunał, aby nie winić tej młodzieży, która w zeznaniach świadków tak strasznie została obciążona. Szkoda, że Schirach nie słuchał zeznań Amona Goetha. Może te bardziej trafiłyby mu do przekonania niż zeznania norymberskie...

Sauckel

człowiek o twarzy prowincjonalnego rzeźnika ubrał się dziś w swe niedzielne ubranie, jak przystało na wzorowego mieszczucha. I tak się zresztą zachowuje. Podkreśla stale, że jako marynarz i robotnik pochodzi z całkiem innej sfery, niż pozostali

kierownicy reżimu hitlerowskiego. Mówił też najdłuższą chyba po Goeringu. Zawiódł się na Hitlerze: „Nie znałem wcale Hitlera z tego procesu“. Ale znał go wtedy, kiedy ten wręczał mu milionowe czeki w dowód uznania za zręczne chwytanie „białych niewolników“ we wszystkich stolicach Europy...

Papen

największy faryzeusz wśród dyptomatów, którego przezwano „diabłem w cylindrze“, rozpoczął swą spowiedź od słów „Mylord“, jak przystało na człowieka, który zna się na formach. Irytował się bardzo na sir Hartleya Shawcrossa, wołając: „Kto dał prawo Shawcrossowi ośmieszać mnie

Kaltenbrunnera (który w jego pierwszym gabinecie był już ministrem bezpieczeństwa) nie umiał nic więcej powiedzieć ponad to, że „anschluss był sprawą serca narodu niemieckiego“. Zapomniał widać o swych zbrodniach w pokonanej Holandii. Trybunał mu je przypomni dokładnie.

Speer

wystąpił błady i wyraźnie zdenerwowany przed mikrofonem. Mówił o technice, która może zgubić ludzkość. Jedna rakietka, obsługana przez kilku ludzi, będzie mogła zniszczyć miasto. I to w jedną minutę! I nikt tego nie zauważył, aby mógł zaalarmować przyszłe ofiary. Hitler przygotowywał się do gigantycznej wojny technicznej. Miał gazy, był gotów do wojny bakteriologicznej, pracowano nad atomami. Ludzie słuchali Speera, a sędziowie pilnie wszystko notowali. Jeśli w przyszłości znajdzie się ktoś, ktoby chciał i mógł technikę obrócić wyłącznie na cele wojenne — świat runie. Dlatego zdaniem Speera proces ten powinien być przestroga dla wszystkich, którzy pragną uniknąć katastrofy. Speer mówił o wszystkim, tylko nie o swojej winie. Zdawał się mieć wykład na temat przyszłości, jak gdyby przeszłość już nie obowiązywała.

Neurath

zużył tylko trzy minuty, aby nieco podniesionym głosem zgorszzonego starego pana usprawiedliwić się przed Trybunałem. Służył tylko prawdzie, pokojowi i ludzkości, jego sumienie było i jest czyste. Innego zdania są jednak Czesi, których „protektorem“ z łaski Hitlera był ten honorowy SS-general.

Fritzsche

dyktator niemieckiego radia jest bardzo zdenerwowany. Przypuszczalnie po raz ostatni stoi przed mikrofonem. Dobrze znana mu jest ta metalowa muszla. Przez wiele lat wzywał przez nią do mordów i zbrodni. Mówi dobrze, jak przystało na rutynowanego komentatora radiowego, któremu jeszcze się zdaje, że przemawia do narodu niemieckiego, ba! do świata całego. Oszczędnie dysponuje czasem, pragnie bowiem wszystko naraz wypowiedzieć, czego mu przez tyle długich miesięcy broniono. Czuje się, że mikrofon — to jego żywioł. Oczywiście, nigdy nikogo nie podburzał do zbrodni. Sam jest ofiarą hitlerowskiej polityki. Nadużyli jego zaufania. Okłamali go, biedaka! Hitler był oszustem, wołał. Mało jest oryginalny. Nikt go już nawet na sali nie słuchał.

Na tym ostatnie słowa oskarżonych kończą się. Pozostali to: Borman, który jest nadal zagadką. Wyrok na niego będzie zaoczny, mimo sprzeciwu jego obrońcy. Robert Ley który popełnił samobójstwo na kilka dni przed procesem. Krupp von Bohlen, który rozchorował się i którego sprawa toczyć się będzie w procesie odrębnym, przeciwko przemysłowcom niemieckim. W ten sposób po 217 dniach urzędowania i po 402 sesjach jawnych przewód sądowy przeciwko 24 zbrodniarzom wojennym przed Trybunałem w Norymberdze został zakończony.

Norymberga, Pałac Sprawiedliwości.

31 sierpnia 1946.

Marian Podkowiński.



Kontakt nie zerwany

(Ulenspiegel)

Jodl

mówi zupełnie inaczej niż Sauckel. Spokojnie i powoli. Wehrmacht jego zdaniem cierpiała na rozwojenie jaźni, skoro musiała służyć wodzowi, do którego nie miała zaufania i do której on nie miał zaufania. Generalowie służyli nie mocom piekielnym i zbrodniarzowi, ale swej ojczyźnie. On, Jodl, służył zawsze wiernie narodowi i ojczyźnie, bo uważał to za swój święty obowiązek, a myśli, że przyjdą jeszcze czasy, że taki sam obowiązek będzie nakazem i wobec ludzkości. Jednakże, dodał, obowiązkiem żołnierza jest słuchać, a nie deliberować, z czego jest dumny zgodnie z tradycjami niemieckiej armii. Twarde przepisy żołnierskie podczas wojny, choćby były dotkliwe, w myśl przepisów międzynarodowych, nie są przestępstwem wobec moralności i sumienia. Tak twierdzi generał Alfred Jodl, którego podpis znajduje się na wszystkich najbardziej haniebnych dokumentach, jakie zna ludzkość.

przez powiedzenie, że wolę rządzić w piekle, niż służyć w niebie“? Papen nie widzi oczywiście żadnej winy w swoim sumieniu, raczej dziwi się, że nie traktuje się go jako uczestnika walki z hitleryzmem, jego, który, jako hasło swej partii wysunął chrystianizm. Zapomniał widać, że to on i jego przyjaciele z Herrenklubu wydali Niemcy Hitlerowi, gdy stał prezydent Hindenburg umierał w Neudeck. Nie kto inny jak właśnie von Papen spotkał się pierwszy z Hitlerem w domu kolońskiego bankiera, proponując mu porozumienie i poparcie. Wolął, aby do steru rządów doszli brunatni, niż czerwoni.

Seyss-Inquart

kat Holandii i zdrajca Austrii, człowiek który wraz z Papenem oszukał kanclerza Schuschnigga, odczytał swe ostatnie słowo nosowym głosem z manuskryptu. Ten wiedeński adwokat i przyjaciel swego rodaka

WANDA ŻÓŁKIEWSKA

Kobiety z Limbach

stron 160

Cena zł. 120,

„KSIĄŻKA“

ZIEMIE ZACHODNIE

„Łużycom wolność!“

W listopadzie ub. roku Narodowy Komitet Łużycki w Budziszynie wydał w czterech językach odezwę do studentów, którzy zebrał się w Pradze na Wszechświatowym Zjeździe Studentów: „Do was przyszłych naukowców, przedstawicieli wiedzy, prawa i wolności, wołamy: Pomóżcie Łużyczanom! Wy, którzy jesteście wolni, pomóżcie odzyskać wolność ostatniemu narodowi Europy, żyjącemu w niewoli! Równocześnie wysłano do Organizacji Narodów Zjednoczonych memorandum, w którym Narodowy Komitet domaga się postawienia Łużyczan na równi z obywatelami wolnych narodów, przejęcia aparatu administracyjnego przez Łużyczan, stworzenia łużyckich rad narodowych, otwarcia łużyckich szkół i stworzenia odrębnego łużyckiego inspektoratu szkolnego, podniesienia języka łużyckiego do rzędu języka urzędowego na terenie Łużyc, wskrzeszenia łużyckich organizacji narodowych, zlikwidowanych przez gestapo, otwarcia łużyckiej radiostacji w Budziszynie, zakazu osiedlania się dla Niemców itd. Miścisć później p. Czyżowa złożyła w sekretariacie ONZ w Londynie memoriał z następującymi postulatami: uznanie Narodowej Rady Łużyckiej w Budziszynie za rząd Łużyc, przyłączenie Łużyc do Organizacji Narodów Zjednoczonych i udzielenie przez ONZ gwarancji niepodległości Łużycom. Równocześnie przedstawiciele Rady Łużyckiej odwiedzili stolice szeregu państw europejskich i byli m. in. w Londynie, Moskwie, Warszawie i Pradze. Jednakże ta walka Łużyczan o swą niepodległość prowadzona li tylko na polu dyplomatycznym nie przyniosła żadnych rezultatów. Wielkie mocarstwa zachowały w tej sprawie nieprzerwane milczenie i jedynie Stany Zjednoczone oświadczyły w grudniu 1945 r., zresztą nie w formie odpowiedzi, że są przeciwni dalszym uszczupleniom granic Niemiec. Nie więc dziwnego, że na terenie Łużyc nadal szerzy się terror niemieckiej policji, który doszedł do niespotykanych rozmiarów podczas wyborów samorządowych w styczniu br., i nie dziwnego, że mimo sprzeciwu ludności miejscowej, przeszło 200.000 Niemców z Dolnego Śląska i Sudetów osiedliło się we wsiach łużyckich, Czechosłowacji, jedynym kraj, który efektywnie pomaga Łużyczanom, przed wszystkim w dziedzinie kulturalnej (zakładanie szkół łużyckich, drukarni itp.) jest w swoich wysiłkach osamotniona, Polska, zaś, w której interesie leży przecież powstanie państwa łużyckiego, nie zdobyła się dotąd na nic więcej, poza nielicznymi artykułami w prasie. Tym radośniejszą trzeba powitać inicjatywę Wydawnictwa Zachodniego, które w książce pt. „Łużycom wolność!“ zapoznaje czytelnika z tym nieznanym na ogół u nas problemem.

Na książkę składa się szereg prac, Antoni Nawka opisuje niebogatą ale piękną i swobodną kulturę łużycką, a Bożena Stelmachowska ciekawym folklor łużycki. Dzieje narodu serbsko-łużyckiego omawia bardzo obszernie Paweł Dudzik, a stosunkami Łużyc z Polską na przestrzeni dzieł zajmują się Tadeusz Powłocki. Niestety, ani jedna praca nie jest poświęcona problemowi łużyckiemu w jego obecnej fazie, a to przecież powinno być wysunięte na plan pierwszy. W omawianej książce zagadnieniem państwowości łużyckiej zajmują się jedynie p. T. P. (dlaczego kryptoniem?), podchodzi jednak do sprawy rzeczowo i traktuje ją bardzo powierzechnie. Nawet jeśli uczucie miast rozsądki wodzą piórem — nie wolno twierdzić, że Łużyc to „Oświecenie czy Majdanek w skali dziejowej!“ Nie można też zgodzić się na rozpatrywanie zagadnienia Łużyc na płaszczyźnie porównania ich do takich tworów państwowych, jak Lichtenstein, San Marino, Andorra czy Monaco, wnioskując jednocześnie, że skoro takie państwa istnieją, to dlaczego nie stworzyć i łużyckiego państwa? (art. „Wolno i samodzielne, choć mniejsze od Łużyc“). Wątpliwe, czy tego rodzaju argumentacja może pomóc Łużyczanom. Poza tym — pod adresem tegoż p. T. P. — uwaga w sprawie ścisłości danych cyfrowych, którymi się posługuje. Pan T. P. operuje cyfrą 500.000, gdy mówi o liczebności narodu serbsko-łużyckiego. W r. 1919, gdy Łużycanie po raz pierwszy wysunęli projekt utworzenia własnej autonomicznej jednostki państwowej, w ramach republiki czechosłowackiej, liczbę Łużyczan określono na ćwierć miliona. Dziś, po okresie bezwzględnej i systematycznej germanizacji, stosowanej przez hitlerowców, liczba ta nie mogła się dwukrotnie powiększyć, chociaż Łużycanie odznaczają się b. wielką płodnością (rodziny liczą dziesięcioro a nawet więcej dzieci!). Jeżeli więc nawet przyjmemy liczbę 400.000 Łużyczan, podawaną przez Narodową Radę w Budziszynie, to nie możemy zgodzić się z rozumowaniem p. T. P.: „Wobec faktu, że bardzo wielu rodzin łużyckich liczy po kilkanaście dzieci i przy obecnym przyznawaniu się do serbskości bardzo wielkiej ilości ludzi, za czasów germańskiej wszechwładzy bojaźliwych i wahających się, pół miliona wydaje się być raczej cyfrą zbyt niską niż wysoką“. Znać podłość Niemców i ich technizm, nie wątpliwe, że przyznający się dziś do „serbskości“, „za czasów germańskiej wszechwładzy“ na pewno paradowali w brnatych mundurach NSDAP, a w najlepszym wypadku byli zmienionymi Łużyczanami. W ogóle przy przyjmowaniu osób, które przedtem nie uważały się za Łużyczan do narodowości łużyckiej, należy być bardzo ostrożnym i ra-

czej sceptycznie niż entuzjastycznie nastawionym. P. T. P. rozumuje w dalszym ciągu tak: „Łużyc, o których geografowie niemieccy zaliczają 12 powiatów o ogólnym obszarze 12.700 km kw. z około 1,5 miliona mieszka., nawet po okrojeniu ziem zgermanizowanych sięgających za Łabę(?) , mogłyby obejmować 10 tys. km kw. z ludnością 3/4 do miliona“. Oczywiście jest to nonsens. Po pierwsze: Rada Narodowa w Budziszynie szacuje w przybliżeniu obszar Łużyc nie wg niemieckiego podziału administracyjnego lecz wg łużyckiego obszaru etnograficznego na ok. 8.000 km kw. Na terenie tym mieszka przeszło milion ludzi, z tego — przyjmując liczbę 400 tys. Łużyczan — ok. 600 tys. Niemców, których trzeba będzie wysiedlić. Po drugie: Łużyc, aby istniały muszą mieć oparcie o Nysę ze Wschodu i o granicę czechską z południa, co znaczy: trzeba będzie włączyć do Łużyc oddzielający je od Czech i Polski pas ziemi o powierzchni ok. 3.000 km kw. Obszar ten, że Zgorzelem, Żytną i szeregiem innych miast, jest zamieszkały wyłącznie przez Niemców, których także trzeba będzie usunąć. Otrzymamy więc do uregulowania problem przeszło miliona Niemców. Państwo łużyckie, które powstanie, byłoby więc nie 3/4 do 1 miliona lecz zaledwie 400 tys. mieszkańców, co przy powierzchni ok. 10—11 tys. km kw. uczyni ok. 40 mieszkańców na 1 km kw., gdy w sąsiednich Niemczech gęstość zaludnienia przekracza 200 ludzi na 1 km kw.! Niech mnie „Odra“ znowu nie posadza, jak to uczyniła „po moim artykule o Łużycach w 7 (25) nrze „Kuźnicy“, że jestem przeciwnikiem państwa łużyckiego. Uważam to nie tylko za akt sprawiedliwości dziejowej, wobec narodu, który okazał niespotykaną w historii odporność, ale za konieczność leżącą w interesie zarówno Polski jak i Czechosłowacji. Nie wolno jednak do tego zagadnienia podchodzić romantycznie, operując pełnymi łóżkami wykrzywkami. Należy sobie już teraz zdać sprawę z przyszłej struktury takiego państwa, które pozbawione będzie możliwości samodzielnego bytu gospodarczego, bo nie posiada bogactw naturalnych i która będzie musiało oprzeć się o Czechy lub Polskę. Należy rozpatrzyć problem ludności niemieckiej, stanowiącej większość, która musiałaby ulec wysiedleniu.

W r. 1919 sprawa powstania państwa łużyckiego była na skutek wysuniętych daleko na wschód granic niemieckich nie do przeprowadzenia, samodzielne bowiem Łużyc tworzyłyby wyspę wewnątrz Rzeczy, a włączona do Czechosłowacji, uczyniłaby z tego państwa niemożliwy do obrony działwo-łag terytorialny. Dziś, gdy granica Niemiec biegnie Nysa wzrosła możliwość ostatecznego uregulowania kwestii Łużyc. Niewykorzystanie obecnego momentu będzie pogrzebaniem resztek narodu łużyckiego i skazaniem go na eksterminację.

Spośród wszystkich państw Czechosłowacji i Polska są najbardziej zainteresowane tą sprawą i jedynie one powinny poruszyć problem łużycki na arenie międzynarodowej. Pi-sarze czescy w przedmówieniu konferencji pokojowej wydadli odezwę w sprawie Łużyc, Odezwą brzmi m. in.: „Serbowie Łużycy są jednym z najwartościowszych narodów, ich o-pór pośród germańskiego morza jest czymś bezprzykładnym. Zasluguja oni na to, aby los ich był wreszcie zdecydowany na ich korzyść. Serbowie Łużycy zasłużyli sobie na wolność narodową i niepodległość państwową w formie, która oni sami sobie wybiorą. Niech się przyłącza do tego czy owego sąsieda słowiańskiego, ale jedno jest pewne: Serbowie Łużycy nie powinni już nigdy pa-sać w niewolę germańską!“. Niech się i polscy pisarze i publicyści, skupieni dokoła Wydawnictwa Zachodniego, które wydana książka postawiło sobie za cel popularyzację kwestii Łużyc, przyłącza się do prołużyckiej akcji Czechów i razem, współdziałając z

przedstawicielami łużyckimi, przyczynia do jak najszybszego uregulowania tej palącej sprawy.

Z wydawnictw o Ziemiach Odzyskanych

Dobrze, że nowopowstałe w Poznaniu Wydawnictwo Zachodnie zajmuje się gruntownym przedstawieniem społeczeństwu problematyki Ziemi Zachodnich i popularyzacji tej idei. Szkoda tylko, że tym razem dwa jego wydawnictwa nie są wolne od usterek. Dotyczy to w pierwszym rzędzie broszury Tadeusza Kra-szewskiego pt. „Były i będą nasze“. Co prawda podtytuł informuje, że na jej treść składają się „popularne pogadanki o Ziemiach Odzyskanych“, jednakże i popularności nie powinna przekraczać granicy naiwności ani mijać się z prawdą historyczną. Bo co najmniej naiwne jest takie tłumaczenie przy-czyn powrotu Ziemi Zachodnich do Polski: „niech jeden człowiek skrzywdzi drugiego człowieka sprawę rozstrzyga sąd. I ten, kto sprawę wygra otrzymuje wynagrodzenie za swoją krzywdę. Winowajca idzie do więzienia a z jego majątku otrzymuje poszkodowany wynagrodzenie swych strat. Tak samo jest pomiędzy narodami“. I stąd wniosek, że „jako odszkodowanie Niemcy muszą dać Polsce kawał ziemi (!)“.

Stylistyczne opracowanie jest b. słabe i mija się na ogół z regulami budowania zdań.

Z takiego np. zdania, że niemieckie nazwy miast to „przekrećanki(?)“, a Kolberg, pod którym bila się dzielnie pierwsza armia polska dopiero przy Kołobrzegu wytłumaczył się (?) jako miasto koło brzegu morskiego“, należałoby „się wytłumaczyć“, jako, że stanowi dziwną „przekrećankę“ stylistyczną. Bardzo rażą nieścisłości w przedstawianiu faktów historycznych. Bo przecież nieprawdą jest, że „ziem zachodnich nie wyrzekliśmy się nigdy. Pamiętaliśmy o nich zawsze. Nie przyznał nam ich w całości traktat Wersalski, a Polska nie była zbyt silna, by ich żądać stanowczo, ale zdawaliśmy sobie sprawę, że bez granicy nad Nisą, Odrą i nad Bałtykiem Polska nie może być państwem silnym“. Nie jest to prawdą, bośmy sobie właśnie z tego sprawy nie zdawali, a za czasów Traktatu Wersalskiego o Ziemiach Zachodnich nie mogło być nawet mowy. Na konferencji jałtańskiej, na której postanowiono przydzielić

Polsce Ziemi Zachodnie brał udział nie prez. Truman, bo żył jeszcze wówczas wielki Franklin Delano Roosevelt.

Całość, włącznie z ostatnimi rozdziałami „Co zrobiliśmy“ i „Co jeszcze zrobić mamy“, nie porusza żadnych zasadniczych problemów, nie wskazuje dróg wiodących do rozwiązania najważniejszych zagadnień życia Ziemi Odzyskanych i niestety nie spełnia swego zadania.

Lepiej przedstawia się zbiorowa książka pt. „Ziemi odzyskane — odzyskani ludzie“. Składa się na nią kilka artykułów pióra różnych dziennikarzy i publicystów interesujących się zagadnieniami Ziemi Odzyskanych. Problemami kulturalnymi zajmują się dr R. Pollak („Rola Ziemi Zachodnich w polskiej kulturze“) i dr A. Rogalski („Akcja kulturalna na Ziemiach Odzyskanych“), problemami gospodarczymi J. Koliński („Możliwość gospodarcze Nowej Polski“), sprawami ludnościowymi E. Męclewski („Ziemi odzyskane — odzyskani ludzie“) i E. Serwański („O społeczeństwo polskie na Ziemiach Odzyskanych“), wreszcie naszym zachodnim sąsiadem dr A. Klafkowski („Niemcy na szlakach odbudowy“). Wszystkie te artykuły rzeczowo i w sposób krytyczny omawiają problematykę Ziemi Zachodnich wysuwając jednak przede wszystkim ślask, a pomijając teren warmiński - mazurski. Najkorzystniejszą wrażenie robi artykuł E. Męclewskiego „Repolonizacja programem politycznym“, będący obiektywnym podsumowaniem dotychczasowych naszych osiągnięć na Ziemiach Zachodnich oraz precyzowaniem i wysunięciem szeregu słusznych postulatów.

Wadą wydawnictwa jest rażący pseudo-impresyjny styl, używany przez większość autorów. Dla przykładu urywki z artykułu „Ziemi Odzyskane — Odzyskani ludzie“: „I krzywo patrzy repatriant i osadnik na autochtona i z bólu (?) słucha autochton zjadliwie rzuconego za sobą jak ciężki kamień słowa: Niemiec! germaniec! Smetek, Smetek! Smetkowy, diabelski posiew! Chciałoby się tu krzyknąć gromkim głosem: A zaszę, jesteśmy jednej krwi!.. I wyżęnnę precz trzeba ono tragiczne nieporozumienie...“ Jeżeli publicyści nasi nie potrafią wyżyć się patosu, frazeologii, napuszenia, to zmniejszą się waga i znaczenie ich wypowiedzi, co może mieć ujemne skutki, szczególnie jeśli się ma do czynienia z tak ważnymi problemami, jak w wypadku omawianej książki.

Najslabszym artykułem jest bezsprzecznie E. Serwańskiego „Polska na starym szlaku dziejowym“, który kierując się na tory rozważań historycznych dochodzi do wniosku, że państwo polskie doby Jagiellonów miało same ujemne cechy, a już wręcz skandaliczne jest rasistowskie twierdzenie, że jednym z najważniejszych jego błędów było „skrzyżowanie się krwi polskiej ze Słowianami Wschodnimi czy ludami nam pochodzącym z uzupełnieniem obcymi jak Litwinami“, co „podważało nasze jednolite podglebie biologiczne i oczywiście wpłynęło osłabiająco na jedność duchową narodu polskiego“, a więc „zwichnięta została równowaga społeczna, która cechowała państwo piastowskie.“ Takich bzdur bezkarnie pisać nie wolno.

W związku z powyższym pod adresem Wydawnictwa Zachodniego uwaga o baczniejszej i uważniejszej dobor prac. Wydawnictwo dopiero zaczyna swą działalność, a ma poważne zadanie do spełnienia.

Mariusz Margal.

Czytajcie i prenumerujcie „Kuźnicę“

NOWOŚCI INSTYTUTU ZACHODNIEGO

	cena zł.
Maria Kielczewska: O podstawy Polski, str. 144 16 mapek	200.—
Marian Friedberg: Kultura polska a niemiecka, t. I—II, str. 363 i 310 za całość.	500.—
Alfons Klafkowski: Okupacja niemiecka w Pol- sce w świetle prawa narodów, str. 196	200.—
Bogumił Krygowski, Stanisława Zajchowska: Ziemia Lubuska, Opis geograficzny i go- spodarczy, str. 287	300.—
Bożena Stelmachowska: Zdobnictwo ludowe Ziemi Parzyckiej, 4 ^o , str. 34	100.—

DO NABYCIA
WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

*) Praca zbiorowa, Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1946.

RYSZARD MATUSZEWSKI

W kręgu nostalgii i dobrej wiary

1. W serii „Pod znakiem poetów“.

Któż z przedwojennych czytelników poezji i przechodniów, mijających witrinę księgarni Mortkowicza, przy ulicy Mazowieckiej, nie pamięta tych niewielkich tomików: białych, jeśli były w broszurze, kolorowych z wytłaczanymi złoconiami, jeśli zdobyły je płócienne oprawy, opatrzone okrągłą winiętą z muzami, zarezerwowaną dla „klasyków“ skamandryckiego Parnasu? Nie istnieje sklep przy Mazowieckiej, wypaliła się do cna kamienica w Rynku Starego Miasta, mieszcząca drukarnię, ale „firma“ pozostała, i jej emblemat, owe dwie muzy z dwu stron znicza płonącego na trójnogu, ukazuje się jako godło, wierne tym samym kanonom i tym samym nazwiskom: rok temu w serii „Pod znakiem poetów“ ukazał się „Wiek kłęski“ Antoniego Słonimskiego, wczesna, niemal że przeznaczona przez prasę jaskółka na naszym wojennym rynku wydawniczym, później „Martwa pogoda“ Staffa, obecnie wzeszły pod tym samym znakiem dwa wojenne, emigracyjne zbiorki Władysława Broniewskiego. Dzieje godła, tułacze, jak dzieje firmy wydawniczej i jej rozproszonych po świecie klientów, niczym z kliszy odczytać można z wyglądu tomików: pierwszy, nieco za duży, drukowany w Krakowie, u Anczyca, na gościnnym składzie w mieście podwawelskim, dwa ostatnie, zbyt kuso przycięte, owoc osobliwego małżeństwa, żeby nie rzec wprost — „mezaliansu“: pod godłem widnieje symbol nowego czasu — etykieta Spółdzielni Wydawniczej „Książka“. Obok tradycyjnego kłosa z literami J. M. — nowy znak, duża litera „K“ w herbie ożenionej ze starą firmą instytucji.

Nowy czas, nieprzychylny spokojowi bóstw greckich! Znormalizowanej, harmonijnej wielkości okładek, starannemu doborowi papieru i czcionki, bezbłędnej korekcie... Z niespokojnych i niezwykłych rejsów powracają też, stargane burzami statki poetów.

Są to zbiory wierszy, które już raz ujrzały światło druku — na obczyźnie. Brzmia dźwiękiem słów najbardziej znanych także i w kraju, gdzie były bardzo rozpowszechnione w czasach okupacji. Przynajmniej po kilka utworów w każdym — to „wiersze — hasła“, „wiersze pochodnie“: Słonimskiego „Alarm“, Broniewskiego „Bagnet na broń“ czy „Syn podbitego narodu“. Jest jednak duża część wierszy we wszystkich trzech zbiorach obu poetów mniej szerszemu ogółowi znana i od wierszy wymienionych różna. Inaczej różna u autora „Wiek kłęski“ a inaczej u poety „Pieśni niepodległej“. Jeżeli mimo to, istnieje wiele racji, aby na oba zjawiska poetyckie serii „Pod znakiem poetów“ spojrzeć jednocześnie, to sprowadzają się one do tego, że zrodził je jeden czas oraz pokrewny rodzaj przeżyć i spojrzenia na rolę poezji. To co łączy okazuje się w dzisiejszej perspektywie istotniejsze od tego co dzieli lub niegdyś dzieliło postawy obu autorów. Klimat nostalgii, który zrodził „Wiek kłęski“ i „Drzewo rozpaczające“ oraz kotwica dobrej wiary, zarzucona w dno czasów pogardy strofami takich wierszy, jak „Krzak głogu“ i „Grób Tamerlana“ wywodzą się z jednej gleby duchowej, z jednej i tej samej formacji historycznej.

II. Wiek kłęski czy wiek doświadczeń?

Słusznie podkreślił Paweł Hertz w swych „Obrachunkach skamandryckich“ (*), że z czolowej piątki poetów grupy, która przedwojennie i nadawała ton poezji polskiej dwudziestolecia, Antoni Słonimski, poeta najmniej swobodny w gestach wyobraźni i w magii słowotwórczej, najbardziej konwencjonalny i staroświecki w doborze środków artystycznych, ale przy tym jedyny, patrzący na świat oczyma pragnącymi dojrzeć jakiś jego sens społeczny, „poeta w gruncie rzeczy polityczny“ — wydaje się dzisiejszemu naszemu spojrzeniu na zadania poezji najbliższy: najbliższy — choćbyśmy nie podzielali niekiedy ani jego idealistycznej wiary w naturę ludzką, ani wiary w jedność jego klasycznego kanonu poetyckiego.

Nie wiem, czy w poezji któregośkolwiek z pozostałych przedstawicieli „Skamandra“, znalazłyby się wiersze będące tak pełnym wyrazem postawy ludzkiej jak w „Wiek kłęski“ wiersze „Sąd“ i „Ten jest z ojczyzny mojej“ lub wiersze tak skonkretyzowane jak „Drzewa“. „Wiek kłęski“ jest na ogół tomem jednolitym ideologicznie i artystycznie. Dwa motywy przewodnie: motyw tęsknoty za krajem i motyw wiary w dobre sily ludzkości, w wolność i sprawiedliwość, w potęgę rozumnej przewagi

tych, co nie walczą o władzę nad światem, lecz o spokój cichych, letnich wieczorów z książką na kolanach w kraju rodzinnym, — znajdują tu celowe oparcie o kształt wiersza najbardziej żyty z mową potoczną, najbardziej się jej poddający, płynący łożyskiem tradycyjnych, dawno utartych poetyckich gościńców. Cień wielkiej nostalgii tego „co się teraz modli za nami z place de l'Alma“ unosi się nad



Antoni Słonimski

reprodukcja z portretu Janiny Konarskiej

szarą Sekwaną i uliczkami paryskimi — „piosenkami architektury“. Powracają „nocne rodaków rozmowy“ i wiara we Francję, siostrę wolności, w wierszach „Do przyjaciela Francuza“ i „Do Francji prawdziwej“. Powraca obraz dawnej mieszczańskiej Warszawy, Warszawy Prusa, Or-Ota i Gomulickiego, kawiarni Lourse'a i Semadeniego, kabaretu pod Pikadorem i saloniku Boy-Zeleńskich we fragmentach poematu „Popiół i wiatr“. W obraz ciemnej apokalipsy przyobleka się wojenny świat fałszu i zbrodni, świat niejasny i bezrozumny, nieludzki choć człekokształtny, oddzielony od poety granicą niepojętości szerszej niż morską przestrzenią kanału La Manche.

Zdaje się, że dotarliśmy do sedna sprawy najistotniejszej. Zapewne, poezja Słonimskiego jest nam bliższa, bliższa niż jakakolwiek inna poezja kierunku, którego był na naszym gruncie przedstawicielem, dojrzałych przez autora okiem jasnym i niezmaconym, po prostu granica doświadczeń.

Między nami, pokoleniem, które przeżyło wojnę w kraju, a poezją „Wiek kłęski“ stanęła przestrzeń, rozstrzygająca o odmienności przeżyć z okresu okupacji i czas, który przeprowadził większość liryków dnia dzisiejszego przez doświadczenia poetyckie obce Słonimskiemu. Dla nas obraz wojny i walki z faszyzmem — nie jest tylko obrazem Apokalipsy. Słowo „wolność“ i słowo „sprawiedliwość“ mają swoje miejsce nie w czułym zakątku poetyckiego serca skąd biega równomiernie, w takt jego uderzeń, falowym ruchem kręgow na wodzie ku innym ludzkim sercom. Słowo „wolność“ i słowo „sprawiedliwość“ mają określony sens historyczny i miejsce historyczne w obozie walki o lepszy porządek świata. Nie mają miejsca, często nawet wbrew ludzającym pozorom, w obozie przeciwnym. Słonimski wierny jest ideom naczelnym tej walki, ale nie oznacza jej miejsca na swojej poetyckiej mapie.

My wiemy, że kiedy mówimy „wolność“ — jest w tym cała świeżo przeżyta tragedia człowieczeństwa, obozy, krematoria, tłum wleczony na śmierć. U Słonimskiego wolność dźwięczy wiecznie żywym echem Marsylianki. Ktoś powie, że to jest to samo. Nie, dla tych, co przeżyli tę rzecz na nowo, to nie jest to samo. Słonimski mówi pięknie i mówi prawdziwie o uliczkach paryskich i o wiosnie londyńskiej, ale mówi symbolicznie i nie mówi prawdy o wiosnie warszawskiej, którą widział oczyma wpatrzonymi w mgłę nad Tamizą i odczuwał skórą poddaną falom ciepłego wiatru wiejącego z oceanu.

Mówiąc o wiosnie warszawskiej, podczas okupacji, Słonimski mówi o szeptcie, co każe natężyć słuch i zaufać niebiosom. Znany ten obraz i z literatury i z życia. Nie wszyscyśmy zaufali. W tym zaufaniu nie było dla nas ratunku. W wierszu „O Londynie“, obnażającym z niezwykłą trafnością psychologiczny mechanizm działania nostalgii, tego najniezawodniejszego z poetyckich klejów, Słonimski naprośnie marzy o „highlanderach z mazowieckich dworków“, bo w tych dworkach od dwóch

lat mieszka już „wiejska biedota bezrolna“ z wiersza „Sąd“. W tej drobnej niekonsekwencji poetyckich marzeń autora „Wieży Babel“ kryje się głębszy sens, pomieszanie prawdy z ułudą, bezwzględnej uczciwości sądu o świecie z niepoprawnym marzytelstwem wizji, w której sen „o Tudorach, Warwickach i Yorkach“ mieści się w wymiarze płaszczyzny nad Wisłą, a „liberté chérie“ brzmi jednakowo w każdym czasie i w każdej przestrzeni, choć nie gdzieindziej jak właśnie w „Wiek kłęski“ odnajdujemy świadectwo, że dźwięk tego słowa bywa różny:

Ziewasz, gdy słyszysz
Słowa: Wolność, La Liberté, Freedom.
Wytarły się w długim użyciu
Stare monety.
Ale powiedz te słowa Żydom,
Polakom, szepnij Norwegom,
Krzyknij po przez sztachety,
Przez drutów kolczaste zasieki,
Gdy idą skuci w szeregu,
A zadrzą szeregi, zadzwonią łańcuchy,
Oczy zapłoną gorączką nadziei,
Oczy świecące, krążące jak duchy,
Jak duchy w cementarnej zawiei.

(Modlitwa o słowo)

Słonimski zdaje sobie z tego sprawę i nie ukrywa tego, że jego piękna poezja należy do dnia wczorajszego. Stanowi to jeszcze jedną piękną cechę jego szlachetnego i uczciwego stanowiska:

Ja już tej wojny nie wygram,
Serca nie wyrwę już z kleszczy.
Uciekam — zbieg i emigrant,
Jak uciekałem z Zaleszczyk.

Uciekam drogą zawiłą
Od własnych uciekam wspomnień,
Jak ten, co siadł nad mogiłą,
I szuka gwiazd nieprzytomnie.

Skulony, skryty w fotelu,
Czułny dezertter ze świata,
W małym londyńskim hotelu
Węzły gordyjskie rozplątam.

Patrząc w popioły wygasie,
Pledem odkryty jak chusta —
Strudzony biegiem Ahaswer
Owijam, otulam się pustką.

(Ahaswer).

Słowa te są pełne gorczy, ale niesłusznej. Walka, którą toczył i toczy autor „Okna bez krat“ nie jest przegrana. Jego wiek, wiek kłęski idei ludzkości bezbronnej i bezradnej, nie jest wiekiem kłęski, lecz wolno nam wierzyć — wiekiem wielkich i płodnych w następstwa doświadczeń idei takiej sprawiedliwości, jakiej kierunek znaczą tak zawiłe i tak wielkiego hartu serca wymagające drogi postępu. Trzeba tylko oręż szlachetnej słabości zmienić na broń świadomości kierowanej, świadomej swych zadań i swych niebezpieczeństw siły.

III. Pieśń żołnierza i płacz wygnańca.

Poezja autora „Trzech salw“ i „Dymów nad miastem“ nie urodziła się pod auspicjami serii „pod znakiem poetów“. Tylko pokrewieństwo struktury formalnej z kanonem klasycznym Skamandra wprowadziło poetę walki proletariatu i jego „Krzyk ostateczny“ jeszcze przed wojną w księgarskie poblize Muz i białych okładek tomików z ulicy Mazowieckiej. Jeżeli nawet dla krytyka form poetyckich dwudziestolecia poezja ta nie zawierała cech odrębnych, w zestawieniu z liryką Skamandra, na podłożu której wzrastała, czerpiąc elementy stylu z bogatych zasobów i środków ekspresji, jakimi dysponowali poeci mieszczańscy, to już dla tych wszystkich, którzy w wierszach Władysława Broniewskiego znajdowali zaspokojenie dążeń do wyjęcia dalej, poza samą materię poetyckiego słowa, nie tracąc przytem zdobyczy estetycznych, osiągniętych przy jej pokonywaniu, — była ona czymś zgoła innym. Zastanawiając się nad sekretem tej poezji, świadomie ograniczającej skalę użytych środków formalnych, niezawodnie i bezbłędnie osiągniętej pełnię skończonej, kunsztownej prostoty przez eliminację wszystkiego niemal, co zazwyczaj stanowi w wierszu o jego bogactwie i ozdobności, zadajemy sobie nieraz pytanie, jakimi środkami, na mojej jakich praw rządzących naszymi wzruszeniami, utrzymuje się ta architektura zdań dostępnych nie tylko dla tych, dla których ładunek słów ma swoje prawa proporcji estetycznej, ale także i tych, dla których niesie on jedynie ciężar ważkiej pozaestetycznej prawdy. Jest bowiem rzeczą nieulegającą żadnej

kwestii, że Władysław Broniewski był i jest dotąd w Polsce jedynym poetą, który w kraju, gdzie problematyka artystyczna poezji istnieje dla paru zaledwie tysięcy ludzi, był w stanie przeniknąć poza żelazną kurtynę estetycznego niedokształcenia z zasobami wartości, nie będących tylko poetyckim półfabrykatem, z siłą słowa, które umiało dotrzeć do ludzi, gubiących się w każdym innym zespole poetyckich sensów i znaczeń.

Na czym polega tajemnica oddziaływania tych wierszy? Czym jest zastanawiający sekret ich prostoty? Jak się dzieje, że Broniewski mówi o sprawach, będących dziedziną słów najbardziej wytartych, najbardziej ryzykownej frazeologii, umie mówić o nich tak, że nie doznajemy częstego w tych wypadkach uczucia zażenowania, ale przeciwnie, wśród spraw prostych czujemy niejednokrotnie skurtz wzruszenia? Stwierdzenie, że sekret mowy związanej, istota poetyckości leży w nowym niespodziewanym łączeniu słów, których zasób będący w naszym użyciu jest ściśle określony i ograniczony, niewiele nam wyjaśnia, jeśli chodzi o stosunek do poszczególnych rodzajów poetyckich. Wiemy, że granicą skojarzeń niespodziewanych jest chłonność i odbiorcza wydolność zarówno własna autora, jak i opóźniającego się zawsze we wrażliwości odbiorczej czytelnika, wiemy, że granic tych często przekroczyć niepodobna. Niewątpliwie w mechanice wierszy Broniewskiego jest czynnik, który łączy stare i dobrze znane z niespodziewanym, element odświeżającego, poetyckiego zaskoczenia w krainie osłuchanych i opatrzonych słów, zdań, zwrotów na nowo przenieconych. Rzecz ciekawa jednak, że słowa, które w ten sposób Broniewski bierze na warsztat swoją banalność i zużycie zawiązują nie naszemu codziennemu powszedniemu językowi, lecz zazwyczaj górnej i wzniosłej retoryce, co tym bardziej utrudnia ich użycie w poezji. Takie słowa opatrzone wewnętrznym ładunkiem dawnym dopiero przez nowe zestawienie z innymi słowami uzyskują niespodziewane spotęgowanie swej siły. Weźmy choćby charakterystyczną dla Broniewskiego — „pieśń niepodległą“. Niepodległa Polska, myśl niepodległa, pieśń niepodległa — są w poezji skojarzenia śmielsze, oryginalniejsze. Pieśń niepodległa — mogłaby być tytułem gazety. Ale czy było w latach okupacji określenie bardziej trafiające do wyobraźni inteligenta, szukającego w wierszach właśnie tego, czego nie dawała mu w tym czasie gazeta? Cóż ważniejszego, bardziej pobudzającego dać mu mogło słowo poetyckie, niż skrót, kondensację nowin z pola walki, bojowy werbel artykułów wiary, będących jednocześnie artykułami politycznymi podziemia?



Władysław Broniewski

rys. Eryk Lipiński

W dwu wojennych tomikach wierszy Broniewskiego wyróżniają się w sposób zdecydowany i zdecydowanie dodatni sztafardowe pozycje jego wojennej poezji, wiersze przez ludzi Polski walczącej znane na pamięć, wiersze o wymiarze powszechnym i stanowiące powszechną własność: „Bagnet na broń“, „Żołnierz polski“, „Syn podbitego narodu“, „Co mi tam troski“, „Żydom polskim“.

W wierszach tych widzących jasno i wyraziście proporcje ideologiczne kataklizmu wojennego istnieje daleko idąca schematyzacja wielkich przeżyć zbiorowych, całkowite ogolenie jej z elementów wzbogacającej i różniczkującej obfitości szczegółów, barw, kształtów, oddieni przeżyć. „Bagnet na broń“ jest ważny i zrozumiały dla każdego, „Żołnierz polski“ nie jest jednym z licznych, ale każdym żołnierzem, z rozbitej we wrzniętej armii. Tak, jak czuł i śpiewał „syn podbitego narodu“, myślał lub chciał myśleć nie jeden Broniewski, lecz wielu z tych, którzy przeszli przez doświadczenia wrześnie. W tych uproszczeniach i w upowszechnieniu najtrafniejszych formuł dla zbiorowych doświadczeń tkwi sedno zjawiska, jakim jest poezja Broniewskiego.

Broniewski, podobnie jak Słonimski jest poetą dobrej wiary i zaufania do człowie-

*) „Kuznica“ Nr 21 z dn. 3.6.46 r.

ka, choć wyrażają się one mniej utopijnie i mają konkretne odpowiedniki w nazwach idei, wypisanych nie tylko na kartach tomików wierszy, ale także na prawdziwych sztandarach narodów walczących o wolność. Kontury ich są realne i nieosnute mgłą. Wolność — to Hiszpania w latach przed wrześniem, wolność — to Polska. W wierszach wojennych Polska przede wszystkim i Polska wyłącznie.

Czas wojny, chociaż nie zmienił techniki poetyckiej Broniewskiego, nie przekształcił typu oddziaływania jego twórczości na czytelnika, to jednak zmienił zakres spraw, których robotniczy poeta był dotąd wyraziścielem. Jak przed tym wśród tęskniących do sprawiedliwości społecznej Broniewski zdobył popularność jako poeta proletariatu, tak teraz zdobył ją wśród tęskniących do niepodległości i do zwycięstwa nad faszyzmem, jako poeta żołnierski i narodowy. Przyjść musiał dopiero wielki wojenny kataklizm, aby pomiędzy jedną a drugą sprawą postawić można było znak równości.

Celowo zatrzymaliśmy się dłużej nad rolą ideologicznych i żołnierskich wierszy Broniewskiego, choć nie stanowi one jedynej nuty jego poezji. Ilościowo stanowią one nawet mniejszość. Cały tom „Drzewo rozpaczające” i szereg wierszy w zbiorze „Bagnet na broń” — to oprócz tego liryka osobista: liryka najczystszej nostalgii, o wiele mniej zintelektualizowanej, o wiele bardziej biologicznej, niż nostalgia „Wieku kłęski”, to wiersze - impresje, wiersze - notatki, wiersze - chandry i wiersze - rozpacz. Jeszcze nigdy może autor „Troski i pieśni” nie wydał razem tylu utworów pozabawionych przewodniego motywu walki, tylu wierszy czysto wrażeńiowych, rzucanych na papier w przypływie nieprzypartej psychicznej potrzeby opanowania wewnętrznej rozterki, zabicia dręczącej pustki. Sama nostalgia dobra jako „klej” nie jest jednak trafnym doradcą poetyckim. Nostalgiczne wiersze Broniewskiego są dalekie od doskonałości wierszy ideologicznych i nie osiągają niestety nawet średniego poziomu. Stanowią one, jak gdyby pauzy wśród silnych akordów wspaniałego talentu autora „Elegii o Waryńskim”.

Ryszard Matuszewski

Od niedawna zaczął wychodzić w Poznaniu nowy dziennik pod nazwą „Kurier Wielkopolski”. Redakcję dzielnicy kultury i sztuki objął artysta malarz i literat dr Feliks Marjan Nowowiejski. Recenzje muzyczne i z wydawnictw literackich pisze pianista i literat Kazimierz Nowowiejski (obydwaj są synami sławnego kompozytora Feliksa Nowowiejskiego). Do najciekawszych ogłoszonych artykułów należą: Kazmierza Nowowiejskiego „H. G. Wells” i „Na śmierć Wellsa”, dr. F. M. Nowowiejskiego „Malarstwo francuskiej awangardy”, recenzje plastyczne i inne.

WŁ. KRASNOWIECKI

Na marginesie reżyserskiej roboty nad „Starym Dworkiem”

Każdy uczciwy i jako tako doświadczony aktor wie, że prawdziwa owocna próba, nie mówiąc już o spektaklu, wymaga pełnej jego aktywności. Jego fizyczny i psychiczny motor musi „iść na pełnych obrotach”. Wiemy, że artystowska egzaltacja, sztucznym napięciem nerwów i mięśni nie osiągniemy gorąca, dającego „pełne obroty”, pełny ton. „Pełne obroty” motoru aktorskiej twórczości gwarantuje jedynie wspólny ze społecznością, której służy, rytm — głęboki instykt społeczny. Intensywne przemyslenie problemu sztuki i roli rodz. prawdę uczuć. Prawda uczuć rodzi wiarę, jak mówi K. S. Stanisławski, Przemyslenie wielkiego ogólnonarodowego problemu danej sztuki rodzi prawdę uczuć na odpowiednim diapazone.

Sztuka Ważyka mówi w realistycznym skrócie o historycznym momencie likwidacji klasy, która przeżyła samą siebie.

Maryna prosi w I akcie o dziedzicową strzelbę, która się „marnuje tutaj, gdy pod Zielanami biją się z Niemcami”. Czyż aktorka, której powierzono rolę Maryny powinna, grając tę scenę myśleć intensywnie o reformie rolnej, o PKWN, o tym, że otolud przejmie oręż, który wypada że zwłoczący szlacheckich rak? Nie! nie powinna. W momencie pełnej aktorskiej twórczości zapóźno na dopingowanie się najszlachetniejszymi nawet hasłami.

Grozi to niebezpieczeństwem grania na szczytach, aktorka nie będzie „przeżywać”, będzie „opisywała”.

Dana aktorka powinna znać rolę małego i bezrolnego, wiedzieć o znaczeniu reformy rolnej. W pierwszym analitycznym okresie roboty ma czas na przepracowanie, łącznie z całym, biorącym udział w sztuce kolektywem, ideologią sztuki i problemów jej realizacji. Tylko zrozumienie wielkości, rewolucyjności reformy, da aktorce odpowiedni diapazon uczucia, podyktuje jej i reżyserowi takie środki wyrazu, dzięki którym jej Maryna będzie żywą z krwi i ciała istotą i przedstawicielką swojej klasy jednocześnie.

Ale w efekcie przygotowawczej roboty, grając powinna mieć w scenie, o której mowa, elementarne fizyczne zadanie, powinna chcieć jednego: Strzelby! Dostać ją w swoje ręce i pędem pod leśniczówkę na zbórkę. Odkrycie Stanisławskiego, że: im prostsze, elementarniejsze, konkretniejsze jest zadanie, aktorskie w danej scenie, czy ulamku sceny, tym pełniej, tym prawdziwiej dojdzie do widza pod tekst i wszelkie asocjacje, ma i w naszym wypadku pełne zastosowanie.

Naszą ambicją jest być wiernymi tłumaczami tekstu na sceniczny język. Będziemy nimi, gdy, zdając sobie w pełni sprawę z te-

matycznego i ideologicznego związku sztuki z jednym z fundamentów rewolucyjnych przemian w życiu narodu nie będziemy szukać na siłę rewolucyjnych form realizacji. Staraliśmy się uniknąć wszelkich reżyserskich sztuczek. Oszczędnym, skrótowym realizm tekstu obowiązują reżysera. Problemy, jakie mieliśmy do przepracowania; to: pomieścić, że w ciągu kilkunastu godzin akcji, w jednym pokoju dworku Stądwickich, idzie rzecz o historycznej, o epokowej przemianie. Ze przemiana ta, dotycząca milionów jest pokazana w sprawach kilkorga ludzi. Ze ludzie ci, to wielopłaszczyznowe i niepowtarzalne „nieprzekalkowane” indywidua, że nie mogą być takimi na scenie za cenę psychologizowania postaci, że jedna grupa postaci, obszarnicy, nie mogą być persiflowani, druga: chłopci, partyzanci nie mogą być idealizowani.

To, że reżyser zręka się polowania na „inność” nie zwalnia z kardynalnego i zrealizowanego obowiązku pieczołowitej czujności w odszyfrowaniu stylu: odrębności pisarza.

Jednym z momentów w których wyraźnie rysują się zadki odrębnego stylu „starego” poety i „młodego” dramatopisarza jest dla mnie druga scena III aktu.

Stanicka: Panie Lalewicz, poco Pan podkuwa buty?

Lalewicz: Żeby się, proszę Pani, zelówki nie wycierały.

Stanicka: Tak też myślałam.

Lalewicz: Dużo ja mam chodzenia i to nie w swoich sprawach.

Taki skrót w rysunku w postaci Lalewicza jednego z famulusów obszarniczych w zaakcentowaniu ich nonsensowej tym nie mniej wrogiej postawy wobec demokracji (częstokroć dynamiczniejszej od postawy ich zbławizowanych panów) może dać piszący realistyczną sztukę poeta.

Skrótowy realizm dramatopisarzy graniczy często (właśnie dzięki swej kondensacji obrazu do której nawykł poeta) z poetyckim ujęciem spraw i ludzi. Tak bym określił, po mojemu, odrębność Ważyka dramatopisarza. Teatr w realizacji powinien pamiętać o tym, że autor jest poeta, zresztą nie przychodzi to trudno, gdyż tekst, nad którym pracujemy stale nam to przypomina.

Na zakończenie mała niedyskrecja. Stary Dworek to nie pierwszy, lecz trzeci z rzędu utworów scenicznych Ważyka, zarazem trzecia sztuka tego autora reżyserowana przez niżej podpisanego.

Dwie pierwsze były napisane i wystawione w czasie wojny, w żołnierskim teatrze Polskiego Korpusu Polskiego w ZSRR.

HENRYK ULASZYN

Województwo pruskie, mazurskie czy wschodnio-pomorskie

Z wznowionego organu Instytutu Bałtyckiego, wydawanego po polsku pod rosyjskim tytułem „Jantar” (już przed wojną zwracałem na to uwagę, ostatnio zaś w odczycie mianym w kwietniu r.b. w TMJP w Łodzi) dowiedziałem się, że w prasie naszej prowadzi się polemikę na temat nazwy dla kraju dziś zwanego (podobno) urzędowo „województwem mazurskim”, przed wojną zaś „Prusami Wschodnimi”.

Zdaje się, że fragmentem tej polemiki jest artykuł p. B. Srockiego („Jantar”, zes. 1, str. 58 inst.), broniącego nazwy „Pomorze Wschodnie” (Warmia i Mazury) przeciwko prof. Z. Wojciechowskiemu, wypowiadającemu się za nazwą „Prusy” (artykułu tego ostatniego, drukowanego w „Przeglądzie Zachodnim”, nie znam).

Mimo obszerny wywód p. B. Srockiego, trudno mi jest zrozumieć, dlaczego sprzeciwia się on terminowi: „województwo pruskie”, „województwo pruski”. Skoro bowiem nazwę tę przyjmujemy jako nazwę administracyjną, to co ipso skreślamy ze współczesnego użycia nazwę administracyjną Prusy. Przecież Prusy w swej ostatniej fazie rozwojowej, była to jednostka polityczna, a nie etniczna i nie można jej stawiać co do znaczenia w jednym rzędzie z Pomorzem, czy Kujawami, czy Lubelskiem. Skreślamy tym bardziej, że województwo pruskie jest tylko częścią dawnych, historycznych i przedwojennych Prus Wschodnich. Istnieje nazwa ta tylko w historii, jako termin historyczny do powstania nowej nazwy tego terytorium, reete większości tego terytorium: „województwo pruskie”.

Skrupuly p. Srockiego, dotyczące nazwy obywateli, tj. mieszkańców, województwa pruskiego, są nie realne. Przecież terminy, o których mówi, są terminami całkiem odmiętnej kategorii: Prusowie to nazwa etniczna względnie etniczno - narodowa. Prusacy zaś to nazwa etniczno - polityczna, przyczem etniczność obu jest całkiem odmienna: w pierwszym wypadku bałtycka (litewska), w drugim germańska (wzgl. teutońska, niemiecka). Natomiast nazwa „województwo pruskie” nie nam nie mówi ani o etniczności, ani polityczności; mówi tylko o jednostce administracyjnej współczesnej Rzeczypospolitej Polskiej.

A pozatym pytam: czy istnieją nazwy obywateli jednostek administracyjnych? Przecież krakowiacy czy lublinianie, jako nazwy grup etnicznych wcale nie pokrywają się z obywatelami województwa krakowskiego czy lubelskiego. Jeśli chodzi o obywatelstwo czyli o mieszkańców tych jednostek administracyjnych to mówimy: obywatel względnie mieszkaniec takiego województwa. Przecież nie nazwiemy mieszkańców Nowego Targu czy jego okolic „krakowiakami”, ani mieszkańców Chelmu lub jego okolic — „lublinianami” czy „lubliniakami”. Jeśli zaś tak koniecznie chce p. Srocki jakimś osobnym wyrazem nazwać mieszkańców województwa pruskiego, a nie wystarczają mu nazwy: „Warmianie”, wzgl. „Warmiaczy” oraz „Mazury” (nazwy oczywiście etniczne na określonym terytorium; zostają jeszcze pominięte terytoria do skolonizowania ludnością polską, niewątpliwie mieszaną etnicznie — a zatem o ich nazwie przedwcześnie jest mówić; życie niewątpliwie sprawę rozstrzygnie) — to bynajmniej nie ma konieczności nazywać ich Prusowie lub Prusacy, co, zdaniem p. Srockiego, wynika z przyjęcia nazwy „województwo pruskie” (wzgl. dalszego użycia terminu „Prusy”). Na podstawie stosunku (wiotrznego): województwo wołyńskie — wołyńskie, województwo poleskie — poleskie (obok poleszki z ruskiego)... można by było analogicznie utworzyć: województwo pruskie — pruskie (por. morawianie).

Nie widzę wszakże ani konieczności ani potrzeby nazywania mieszkańców województwa pruskiego osobną nazwą. Nie czynimy przecież tego w innych wypadkach, boć — jak już zaznaczyłem — krakowiacy, lublinianie i t.p. też polesianie (wzgl. poleszki (jest też Polesie kijowskie) i t.p., to nie nazwy mieszkańców jednostek administracyjnych lecz grup (zasięgów) etnicznych.

Rozszerzenie nazwy Pomorza na przedwojenne Prusy Wschodnie nie wydaje mi się słuszne z wielu względów; między innymi też z tego, że stosunek wybrzeża (notabene nie bardzo morskiego) do kraju, który nam przypadł, jest właściwie, ujęty w cyfry, tak niski, że nazywać go Pomorzem, traci poniekąd żartem. Nazwę „województwo mazurskie” nie uważam za trafną.

HENRYK ULASZYN.

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „KSIAŻKA”

sierpień — wrzesień 1946

WYDAWNICTWA AKTUALNO - POLITYCZNE

Fr. Blinowski — Od panowania karteli ku gospod. darce planowej	25,—
W. Brus — Urojenie i rzeczywistość. Prawda o ZSRR	30,—
W. Brus — ZSRR a wojna polsko-niemiecka 1939 r.	25,—
L. Kielecki — Wleś polska na nowych drogach	25,—
A. Kubacki — 75%, wyd. IV	2,—
T. Godo — Co nam dają Ziemię Zachodnie	15,—
Wl. Gomułka-Wiesław — Ziemię Odzyskane integralna część Polski	10,—
Fr. Fiedler — W sprawie granic wschodnich, wyd. II	25,—
M. Wągrowski — Rozmowy z malkontentem	15,—
W. Zawadzki — Od Monachium do drugiej wojny światowej	25,—

EKONOMIA

K. Kautsky — Nauki ekonomiczne Karola Marksa	80,—
J. Plechanow — O materialistycznym pojmowaniu dziejów	—,—
A. Szaff — Pogadanki ekonomiczne, wyd. II	26,—
K. Marks i F. Engels — O materializmie historycznym, wyd. II	25,—
Fr. Engels — Ludwik Feuerbach i zmierzch klasycznej fil. niemieckiej, wyd. II	30,—

DZIAŁ NAUKOWY

Zeszyt IV — Nikolski i Jakowlew — Jak ludzie nauczyli się mówić	20,—
Zeszyt V — Kurek - Kojrański — Od słońca do dynamomaszyny	—,—
Prof. Dembowski — Psychologia małp	—,—
Dr. J. Barski — Na wielkiej fall	40,—
Z. Kormanowa — Joachim Lelewel	65,—
Z. Kormanowa — Lamarok	—,—

BIBLIOTEKA MYŚLI WSPÓŁCZESNEJ

T. Kotarbiński — Zasady dobrej roboty	20,—
J. Brum - Bronowicz — Z dziejów współczesnej idei narodowej	20,—
J. Chałasiński — Socjologiczne założenie reformy	20,—
St. Ossowski — Analiza socjologiczna	20,—

BIBLIOTEKA PRAWNICZA

Kramsztyk - Kruszevska — Odzyskanie majątków opuszczonych	50,—
---	------

St. Strzelbicki — Stosunki prawne nieobecnych i zaginionych

St. Strzelbicki — Podatek od wynagrodzeń	30,—
St. Strzelbicki — Urlopy pracownicze	25,—
J. Litwin — Prawo o aktach stanu cywilnego	30,—
Mały kodeks karny	50,—

KOLPORTAŻ CZASOPISM

Państwo i Prawo	55,—
Myśl Współczesna	55,—

POWIEŚĆ I NOWELA

Erenburg — Upadek Paryża	300,—
K. Brandys — Miasto niepokonane	220,—
St. Otwinowski — Nagrobek	—,—
A. Makarenko — Poemat pedagogiczny	120,—
A. Rudnicki — Wrzesień	35,—
A. Rudnicki — Lato	120,—
A. Rudnicki — Uśmiech żandarma	35,—
Aragon — Niewola i wielkość Francuzów	35,—

POEZJE

T. Hołuj — Wiersze z obozu	100,—
Gn. Timofiejew — Wysoki płomień	160,—
Wl. Broniewski — Drzewo rozpaczające	55,—
Wl. Broniewski — Bagnet na broń	35,—
Szenwał — Utwory poetyckie	200,—

WZNOWIENIA

Boy — Słówka	320,—
Balzac — Dwaj poeci	100,—
Balzac — Stracone złudzenie	220,—
Balzac — Cierpienia wynalazcy	190,—
Balzac — Błaski i nędze życia kurtyzany	280,—
Balzac — Ostatnie wcielenie Vautrina	170,—
M. Gogol — Martwe dusze	160,—

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH

A. Mickiewicz — Pan Tadeusz, wyd. IV	60,—
A. Mickiewicz — Konrad Wallenrod	45,—
A. Mickiewicz — Grażyna	25,—
J. Kochanowski — Wybór poezji	90,—
J. Słowacki — Kordian	55,—
J. Słowacki — Beniowski	—,—
J. Słowacki — Lilla Weneda	—,—
B. Prus — Faraon	—,—
Wl. Reymont — Chłopi	—,—

Przez Spółdzielczość do taniej książki

N O T Y

Tajemnica geografii

Otrzymałm broszurę Sebastiana Będziewicza p. t. „Nazwy geograficzne obu półkul Ziemi jako wynik uniwersalnego prawa natury i drogowskaz do nowych odkryć w zakresie elektrycznej natury wszechświata” wydaną w Krakowie, nakładem autora i oznaczony jako „biuletyn I-szy”. W „biuletynie” tym czytamy:

„Cały wszechświat jest jak nam wiadomo, jednym olbrzymim zjawiskiem Natury, w skład którego wchodzi wielkie, mniejsze i małe zjawiska. Wszystkie one są wynikiem Praw Natury ukrytych przed naszymi oczami, ale nie przed naszą świadomością.

Wiadomo, że nazwy geograficzne mają w słownictwie międzynarodowym niemałe znaczenie. Co atoli zadziwić musi, to, że ten olbrzymi Słownik jest tak „ułożony”, iż z niego możemy się dowiedzieć, że istnieje jeszcze inny świat równie tajemniczy jak nasza ziemia, świat od którego losy naszej Ziemi zależą w wysokim stopniu. Ten ogrom nazw oznacza nie tylko geograficzne obiekty, lecz zarazem tworzy on jakby mowę Atlasa — „mowę”, której sens jest tak głęboki, że lekkomyślnością byłoby nie zastanowić się nad tym. Weźmiemy tylko tę małą ilość przykładów z obu półkul globu ziemskiego:

Amboina. Amboise. Combe. Ombo. Kom-bakomum. Mirambo. Mirambeau. Komombo. Kissemo. Kisamba. Kazembe. Kazembi. Urambo. Coquimbo. Lutembo. Lidjembe. Gembe. Kankombe. Upemba. Balkombe. Ikombe. Humbe. Muwarakombe. Ifrakombe. Kirambo. Aajamba. Kisamba. Ovambo. Tsi-tambo. Tsiambo. Kambo. Kambodża. Kambomba. Kambokomba. Laomba. Kosamba. Ipamba. Cayambe. Meyambe. Kabembo. Omarambo. Libombo. Mossamba. Mussombo. Tsarszamba. Mahajamba. Mukamba. Makumbi. Mwamba.

Ateny. Athenai. Athenae. Athènes. Galatone. Galatina. Marahon. Balaton. Husiatyn. Kazatin. Palatyn. Palatin. Pallanza. Palestyna. Palaestina. Paestrina.

W dalszym ciągu następuje 8 stron nazw geograficznych w kolejności alfabetycznej.

„Z naszych badań wynika, że nazwy geograficzne są związane z sobą jakimś magicznym węzłem i jakby pod wpływem jakiejś siły magicznej wskazują bardzo wyraźnie na miejsce, w którym znajduje się intelektualne i fizyczne centrum elektrycznych sił wszechświata — pisze Sebastian Będziewicz — znaczenia tak zwanych „promieni kosmicznych”, których strumienie padają nieustannie na naszą Ziemię ze świata transzterylnego, nie będzie można zrozumieć, dopóki nie pozna się tej siły Natury, na którą wskazują nazwy geograficzne.”

Ideę Sebastiana Będziewicza pojmujemy doskonale. Wyjaśniają nam ją zdania następujące:

„Wśród niezliczonej ilości nazw geograficznych całego świata trafiają się także dziwaczne i na pozór śmieszne; ale po bliższym badaniu okazuje się, że nie ma w nich wcale dziwności ani śmieszności: tylko Prawo Natury bliźniacze w nich się objawiło. Pod wpływem tego Prawa wytworzyły się takie jednostki geograficzne w postaci bliźniaczej jak:

Kotakota, Mocomoco, Dumdum, Tawitawi, Oleole, Savusavu, Kankan, Kawakawa, Berber, Jangjang, Tharthar, Uriuri, Uruuru, Iloilo, Kurkur, Corocoro, Somosomo, Wana-wana, Putput, Ghulghul, Abongabong itd.”

Oczywiście centrum intelektualne i fizyczne elektrycznych sił wszechświata — to Dymśa jako bliźniak, a Sebastian Będziewicz to Jan Sebastian Smutny.

Kurkur, Corocoro, Somosomo, Kłapacupa, Odzjawa, Kamajawa, Orinoko, Rachatukum, Popocatepetl.

Rozumiemy się.

r. m.

Zabawa w oczy

W 37 Nr. „Odrodzenia” ogłasza Tadeusz Peiper interesujący feleton na temat oczu Dianny, bohaterki „Fantazego”. Z prawdziwą poetycką intuicją wnika autor w szczegóły utworu, niektóre z jego spostrzeżeń będzie musiał uwzględnić przyszły komentator Słowackiego i reżyser dramatu. To jednak, że Słowacki nadawał pewien odcień symboliczny barwom, a więc także barwom oczu, jest rzeczą jasną dla każdego uważnego czytelnika. Peiper otwiera więc oczy dawno otwarte. Sprawa związana jest z malarskim okiem Słowackiego, okiem niezwykle śmiałego impresjonisty. Słowacki nie zna stałych kolorów, barwy płyną w jego wierszach, zmieniając się ustawicznie, zapalając się jedną od drugiej, przemieniając się wzajemnie.

Peipera niepokoi fakt, że oczy Dianny raz są czarne, raz szafirowe. Przypisuje barwie tęczówki u heroin Słowackiego ze zbytnim schematyzmem rolę alegoryczną. Tymczasem zmienność barw oczu odpowiada wizerunkowi świata przez Słowackiego — wizjonera.

Powiedzcie na przykład jakie właściwie oczy ma Aniela z „Beniowskiego”?

„Aniela miała...
Oczy, iskier pełne, teraz pełne rosy.
Smutne i twarzy kochanka ciekawe”.

A gdzie indziej:

„Z oczu zdziwionych czyniac słoneczniki,
Bo słońcem była żrenica zationa
A rzesy, pełne perel, jak promyki”.

Sam Beniowski:

„na ciemne oko,
złote polyskiem zielonawej wody”.

W „Złotej Czaszce” mówi się również prawnie o oczach:

„Oczy jej to diamenty,
Morska napelnione fala,
Zielone, gwiazdowe, przezyste,
Jak błyskawica ogniste”.

A oto oczy Judyty z „Księdza Marka”:

Na twe oczy, z których bije
Razem żar i noc i dzień...
I na ten błękitny cień
Twoich rzesów...

Jakże więc ostatecznie jest z tą barwą oczu?

Czy Dianna ma oczy niebieskie,
Czy Dianna ma czarne oczy,
Czy Dianna ma w oczach szkło czeskie,
Czy w nich błękit, czy noc się mroczy?
Może duch Słowackiego nam powie?
Może Kleimer? może aniołowie?

P. S. Z porównania oczu Dianny do szkła czeskiego nie wynika bynajmniej, że Dianna była z pochodzenia Czeszka. mj

Nasi zagranicą

W numerze paryskiej „Gazety Polskiej” z 11-12 sierpnia br. w dziale Literatura — Sztuka nielaki A.S. pisząc o „Polemikach literackich w nowej Polsce” opowiada o tym jak to w lipcu ub. roku na łamach „Odrodzenia” rozpoczęła się pierwsza wielka dyskusja o przyszłości literatury polskiej, zwana popularnie „dyskusją o realizmie”.

„W polemice tej zaznaczyły się, stwierdza p. A. S., wyraźnie trzy odrębne stanowiska: pierwsze, reprezentowane przez Jana Kotta i Mieczysława Jastruna, głoszące realizm bohaterki i posagowy, dobiegający tylko pewne szczegóły z rzeczywistości i układający je w myśl określonej tendencji; drugie, którego przedstawicielami byli Czesław Miłosz i Artur Sandauer, głoszące nietendycyjność i obiektywizm w literaturze, domagający się przedstawienia rzeczywistości bezstronnej i wyzbytej jakichkolwiek uprzedzeń — z wszystkimi kontrastami piękna i brzydoty, wzniosłości i groteski; trzecie wreszcie, którego bronił na łamach „Tygodnika Powszechnego” Stefan Kisielewski, wyrzekało się wszelkiego realizmu i domagało się literatury metafizycznej, służącej jedynie pięknu i wartościom poza zmysłowym.

To się nazywa „dokładnie streścić”. I pomysł, że jest w Paryżu choćby taki Artur Sandauer, który w polemikach tych brał udział i mógłby panu A. S. w zredagowaniu artykułiku tak znakomicie pomóc. rkm

JAN HUSZCZA

F R A S Z K I

NIUZASADNIONE PRETENSJE

Gdy gość zerznął z Słowackiego,
więc, że plagiat wstydy gościa...
A gość na to: — Cóż w tem złego,
Wieszcz powszechną wszak własnością...

OBRAZ ROZDWOJENIA

Krytyk, autor prae liczych,
dla swoich — bezkrytyczny...

PRÓBA PERSWAZJI

Panu J. W.
Jeśli już koniecznie
o zostaniu pisarzem pan marzy,
bardzo pana proszę —
niech pan gninnym zostanie pisarzem!

Troski Episkopatu

Z okazji wielkich uroczystości kościelnych w dniu 8 września odbyła się w Częstochowie dwudniowa konferencja episkopatu polskiego z udziałem wszystkich biskupów i administratorów apostolskich z kardynałem Hlondem i Sapiełą na czele. Obrady odbyły się w dniach 9 i 10 września.

Po zakończeniu obrad wydano komunikat w którym między innymi czytamy:

„Biskupi stwierdzają z bólem, że w partii, która opierała swój program na światopoglądzie katolickim i dążyła do realizacji zasad chrześcijańsko-społecznych, dokonano rozłamu po którym partia w nowym układzie nie daje rękojmi, że będzie urzeczywistniała myśli i zasady katolickie. Tego stanu rzeczy i stanowiska Episkopatu nie zmienia fakt, że do tej akcji przystąpiło samowolnie kilku księży nieswiadomych ulicznych skutków swego kroku”.

Publiczne oświadczenia dostojników kościoła w Polsce należą do rzadkości. Wobec wszystkich zagadnień naszego życia kościół katolicki w Polsce zachowuje oficjalnie idealne milczenie i indyferencję. Niech jednak jakas partia, choćby i o światopoglądzie katolickim, zerwie z tą tradycją obojętności, niech włączy się w ogólny nurt walki narodu polskiego o lepsze jutro, niech pewien odłam kleru dostrzeże fakt, że być katolikiem nie znaczy przecież być zacofanym — a już Kościół zaczyna „z ubolewaniem stwierdzać”.

Tenże sam kardynał Hlond, którego w cytowanym komunikacie „napelniają stosunki moralne w kraju troska”, uważał za właściwe i zgodne z posłannictwem kościoła usprawiedliwić morderców kieleckich.

Czyżby rzeczywiste zmiany zaszeły w łonie Stronnictwa Pracy i śmiało wystąpienie ks. Weryńskiego bardziej szkodliwy rozwojowi myśli chrześcijańskiej w Polsce niż bestialskie morderstwa na Żydach i strzelanie z za węgla do działaczy demokratycznych?

zs

Protestantyzm a hitleryzm

Podjęta przez „Tygodnik Powszechny” próba obarczenia niemieckiego protestantyzmu ciężarem odpowiedzialności za zbrodnie hitlerowskie uraga nie tylko logice myślenia, lecz klóci się również gwałtownie ze... statystyka wyznaniowa Niemiec. Bo przecież Rzesza Niemiecka nie jest bynajmniej państwem protestanckim: ok. 40% Niemców to katolicy, całe Niemcy południowo-zachodnie i południowe — Badenia, Wirtembergia, Bawaria — są katolickie, a w Nadrenii ludność katolicka wykazuje również wysoki odsetek. W granicach terytorialnych Niemiec hitlerowskich znajdowała się także katolicka nawiąskowość Austrii, oraz katolicki w dużej mierze Śląsk, szczęśliwie dziś przez nas odzyskany.

Wśród sądzonych w Norymberdze przywódców Trzeciej Rzeszy są zarówno katolicy jak i protestanci, tak samo jak przedstawiciele obu wyznań zapelniali szeregi Wehrmachtu, SS, SA i Gestapo. I nie ma żadnych dowodów na to, by postępowanie poszczególnych katolików niemieckich podczas wojny było lepsze albo gorsze, niż protestantów. A obecnie, zwłaszcza w zachodnich sferach okupacyjnych, istnieją silne liczebnie stronnictwa „chrześcijańskie” t. j. katolickie, mogące pochwalić się słuszą sukcesami wyborczymi.

Twierdzić — w obliczu tych wszystkich faktów — że faszyzm niemiecki był jakimś szczególnym produktem... protestantyzacji Niemiec, tak jak to czyni p. M. Paradowski, to albo daleko idąca ignorancja, albo też

świadoma chęć ukrycia istotnych źródeł hitleryzmu we mgle nierealnych różnic wyznaniowych. bd.

Breslauerlied

Na gruzach Wrocławia kwitnie poezja. I to nie byle jaka, bo niemiecka! Mniejsza o to, że grafomańska — ta jej zupełnie naturalna cecha jest dla nas bardziej niż obojętna. Obchodzi nas natomiast jej duch i sens.

Oto autentyczne wyjątki z popularnej wśród Niemców dolnośląskich piosenki p. t. „Breslauerlied 1946”:

„Wo die Polen jetzt durch unsere Strassen ziehen,
Wo der schwarze Handel auf dem Rollfeld liegt,
Jeder Tag den Deutschen bringet Leid auf's Neu,
Da ist meine Heimat und der bleib ich treu!

Wo der Polski uns afft, deutsche Schweinen schimpft,
Wo so manche Träne wegen Hunger rinnt,
Alles geht vorüber, alles geht vorbei,
Treu stehn wir zur Heimat bis wir einstmals frei!”

Wzruszające, nieprawdaż?...

Należy się spodziewać, że ostatnio powstała jeszcze jedna zwrotka o takiej mniej więcej treści:

Mit Herrn Gottes und Herrn Byrnes Hilfe kehren wir zurück
Nach Breslau, Posen, Warschau und Litzmannstadt!.

WW

Nowy Ksenofont

Opowieścią o wysokim poziomie moralnym i stylistycznym raczy swoich czytelników „Ilustrowany Kurier Polski”. W utworze „Moje boje z Persami” p. Wacław Skarbek — Zadawka nie zadaje sobie wiele trudu i nie ma zbytnich skrępowań, jak to zrazu przytoczonych urywków, pełnych wielokropków, zobaczymy:

Satysfakcją było popatrzeć, jak te nasze chucherkę, przywiezione do irańskiej ziemi obiecanej, nabrały w tempie jednostajnym przyspieszonym, ciała kształtów i w ogóle... tego „sex-appealu” kobiecego.

NOC NA SNIJDIE PRZEŻYŁA...
Poza przejechaniem przez auto na śmierć jednego kaprala i polamaniu trzem innym rąk i nog nie innego się nie wydarzyło...

— Owszem, wypadek samochodowy... opisałem w raporcie i wszystko w porządku.
— Nie wszystko, nie wszystko? A o kradzieży?... O kradzieży nic pan nie wie?

— Zrobiłem niewyraźną minę. Rzeczywiście... o kradzieży wódki z gabinetu pana majora nic nie wspominałem w swym raporcie. Podkreślałem, że towary należy niszczyć. A wódka... wódka... (tu znów rozkoszna mgielka pokryła oczy pana majora), wódkę niech pan rekwiruje. No... więc... odmaszerować. Wykonać! — krzyknął groźnie.

Zatem: zdecydowałem się — drżycie — o Persowie! Niech zamilknie serce! Uderzmy w czynów stal! Krwi... krwi żądam — pożądam krwi kensim! kensim! Do dzieła!

I tak: szpalta za szpalta pełna... tego... „sex-appealu” kobiecego, pełna tej... wódeczki, tej... rozkosznej mgielki oraz okrzyków „kensim! kensim! kensim!”

ter.

Skrupulanci

Cyprian Kamil Norwid w swoim czasie taki napisał

Przepis na powieść warszawską:

Weź głupiej szlachty figur trzy — przepiluj, Będzie sześć — dodaj Żydów z ekonomem, Zamieszaj piórem, albo batem wylój, I dolej wody, aż stanie się tomem — Zagrzej to, albo, gdy masz czas, umiuj!... Nareszcie pannę zrumienioną sromem Jak rzodkiew, zanurz dla intrygi krótszej Dodaj wór rubli — zamieszaj i utrzyj.

Niewątpliwie powieściopisarka Kamil Norden konstruowała swe powieści dokładnie wedle recepty swego imiennika. Czy możemy jednak odmówić jej oryginalności? Bezspornie nie. I dlatego, jak sądzę, zbytkiem skrupulatności odznaczają się filmowcy, usuwając w cień osobę Kamila Nordena i w ten sposób reklamując na słupach ogłoszeniowych w Krakowie przeróbkę filmową jego powieści:

Znakomity film polski według powieści Norwida „Moi rodzice rozwodzą się”.

Zwłaszcza, że o ile się nie mylę, prawa autorskie starszego Kamila dawno już wygasły. sp.

GENY OGŁOSZEŃ: Pł. iurna zł 60.000; 1/2 kolumny zł 30.000; 1/4 kolumny zł 15.000; 1/8 kolumny zł 8.000; 1/16 kolumny zł 5.000; Drobne ogłoszenia 25 zł na 1 szpalte.

Redaguje Zespół „Kuznicy”. Redaktor Naczelny: Stefan Żółkiewski.
Redaktor naczelny przyjmujące wtorki, czwartki i soboty od godziny 11 do 13.

D—011071

Adres redakcji i administracji: Piotrkowska 96, tel. 205-42.

Wydawca: Zespół „Kuznicy”. — Drukarnia Spółdzielni Wydawniczej „Cytelnik” Nr. 4, ul. Zwirki 2.